Nr. 13 (1213). Warszawa, 13 (26) Marca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie. miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o wniesienie przedpłaty.

POLITYKA.

Układ pojednawczy.

Z początkiem tego roku Anglia i Francya podpisały umowę o oddawanie przyszłych swych sporów pod sąd polubowny — przyszłych tylko, a przytem nie wszystkich: wyłączyły te, któreby zaczepiały o godność narodową lub całość terytoryalną państwa, czyli najważniejsze, zdolne zaognić się w wojnę. Ta zatem anglo-francuska miłość pokoju ogarnęła właściwie tylko nieporozumienia przeważnie gospodarcze społeczeństw po za państwami stojących, a nie państw samych. ...niej uroczysta od zwykłej międzynarodowej forma zawarcia umowy, podpisanie ... przez posłów i ministrów w postaci ... jednobrzmiących protokółów — we... tego przynajmniej, co o niej dotychczas wiemy — sama przez się już świadczy, że umawiano się o rzecz mniejszej wagi i z przekonaniem o podrzędności spodziewanych z tej sadzonki pokoju owoców. Zasadnicze zgodzenie się na sądy polubowne zapewnia większą praktyczność w rozstrzyganiu sporów. Odtąd ministrowie nie będą potrzebowali tracić czasu na noty ustawicznie powtarzające jedno i to samo i uwolnią się od przykrości ciągłych podrażnień; narażają się wprawdzie na niebezpieczeństwo — sprawiedliwości tam, gdzie niesprawiedliwość byłaby im miłą i upragnioną, ale z tem złem już pogodzić się trzeba, a zresztą i sędziowie polubowni będą również dyplomatami, broniącymi interesów, nie prawa.

Spory bieżące zostawiono do rozstrzygnięcia między samymi ministrami, nie odwlekając ich do niepewnej przyszłości, ani też nie zdając na wątpliwe sądy. Ministrowie wzięli się rzeczywiście raźno do roboty; toczące się już od roku porozumiewanie pchnęli żwawo naprzód i po dwu miesiącach wyrobili sprawy sporne już tak, że zgodne doniesienia dzienników poważnych jak *Temps*, *Standard* i *Globe*, nakazują przewidywać w bardzo blizkim czasie podpisanie układu pojednawczego. Sporów między obu państwami, dotyczących nietylko materyalnego gospodarstwa społeczeństw, ale i stosunków politycznych Anglia i Francya miały z sobą wiele i po całym globie: w Afryce, w Ameryce, w Azyi: wszędzie jątrzyły się ustawicznie niezgody o „moje“ i „twoje,“ o jakąś instytucyę niedogodną jednej stronie a konieczną dla drugiej, o wpływ już wywierany lub mający się wywrzeć w przyszłości z żądzy już obecnej, o władzę faktycznie zdobytą, a dla takiej genezy swojej potrzebującą metryki, którąby fakt ubrała w ciasną sukienczynę prawa. Umowa ogarnia ogół stosunków rozpostartych na przestrzeń a kształtujących się nieprzyjaźnie: jest więc zasadniczą, jest, co więcej w pożyciu państw z sobą jakby czemś nowem; nie przychodzi bowiem po wojnie w traktacie pokoju wraz z krzywoprzysięznemi zaręczeniami przyjaźni, nie zwiastuje też żadnego przymierza do współdziałania, którem by się oba państwa połączyć chciały: zjawia się sama przez się i dla siebie — co najwyżej tylko pobudki zewnętrzne mogły przyspieszyć moment woli do zawarcia jej niezbędnej.

Według dotychczasowych wiadomości, przyjmowanych ostrożnie, można sobie pojednanie w następujący sposób ukształtować. Francya uznaje prawa Anglii do wyłącznej gospodarki politycznej, do monopolu rządzenia w Egipcie; zastrzega sobie tylko utrzymanie europejskiej komisyi umorzenia długów Izmaela baszy, nazywanych długami państwa egipskiego, oraz funkcyonowanie dalsze sądów mieszanych, przeważnie francusko-angielskich. Francyi ekonomicznej w Egipcie jest więcej, niż Anglii, więcej też Francuzów, niż Anglików, i tylko pozyskanie akcyj kanału Suezkiego, dokonane przez Gladstone'a w r. 1875, zapewnia tu rzeczywistą przewagę Albionowi. Francya dla miłej zgody i dla pożytków innych zostawia mu raz na zawsze pierwszeństwo. A pożytki te przedewszystkiem objawiają się najpierw w sprostowaniu granic na zachodzie Afryki północnej ponad zatoką Gwinejską, potem uznaniem przez Anglię wpływów przeważnych w Marokku, które z czasem będzie mogło stanąć do symetryi z angielszczonym Egiptem; wreszcie zapewnieniem swobodnych ruchów w stronie Siamu, z pewną wzajemnością dla Anglii, jako posiadaczki Birmanii. Rzecz prosta, że Anglia, przewidując zagarnięcie Siamu przez Francyę, chciałaby, choćby tylko zasadniczo jak najdogodniej się odgraniczyć. Nakoniec długi, wiekowy prawie spór o rybołówstwo na New-Foundlandzie, o własność powierzchni morza i prawo do użytkowania z pomorza, jakoby z niejasnych wyrażeń traktatu utrechckiego powstały, przychodząca do skutku umowa raz na zawsze usuwa z wzajemnych stosunków: Francya przyznaje Anglii zupełną własność terytoryalną, dla rybaków swoich zastrzega jedynie prawo połowu na wodach przybrzeżnych, i to w pewnej tylko ich rozciągłości.

Jaki wpływ, nie treść rozporządzeń po-

jednawczych, ale samo to pojednanie się, ten duch zgody na całym obszarze zajątrzonych stosunków mieć może na ułożenie się obu potęg wobec wojny japońsko-rosyjskiej? Czy w umowie należy widzieć zapowiedź zgody i na czas trwania wielkiego pożaru wschodniego? Czy umowa daje rękojmię, iż tej neutralności, do której wszyscy się już zobowiązali mniej więcej uroczystymi aktami, żadna ze stron umawiających się o interesa postronne, obce wojnie, jej przyczynom i pobudkom, nie pogwałci? Zapewne, gdyby zarówno Anglia jak Francya w tej chwili przewidywały, czy przeczuwały potrzebę lub nawet konieczność czynnego uczestnictwa w walce tak ważnej dla przyszłości świata, nie zawierałyby tak stanowczego, ku pokojowi zmierzającego, całość stosunków mogących go zakłócić ogarniającego układu. Czynny udział jednej z nich w wojnie musiałby i drugą do działania wyzwać, a ze stosunków, w jakich obie znajdują się do stron wojujących, wynika, że mogłyby tylko pójść przeciwko sobie, jako dwa wrogi. Ponieważ wojna drze wszelkie traktaty, wszelkie najuroczystsze zobowiązania, umawianie się więc o pokój w przewidywaniu wojny — byłoby wręcz niedorzecznem. To jedno zatem powiedzieć można, że ani Francya, ani Anglia w obecnej chwili nie ma zamiaru czynnie w wojnie wystąpić. Gdyby nawet jakie żądze do wystąpienia podniecały, Anglię wstrzymywałaby przewaga japońska na morzu, Francyę — mała bojowość jej floty. Oba też państwa mogą już mieć wzrok wytężony ku tej możliwości, przy którejby wojna rosyjsko-japońska zamieniła się w europejsko-azyatycką wojnę rasy białej z żółtą, z ostatecznem rozwiązaniem na modłę wypadków 1894—5 r. Nierozumnem byłoby upatrywanie w owym układzie pojednawczym wstępu do wzajemnego zbliżenia się i porozumienia o postawę wobec wojny japońsko-rosyjskiej. Ani Francya nie chyli się ku Anglii ze szkodą Rosyi, ani też Anglia nie wydaje Japonii na pastwę losu, jakiby jej mogła zgotować wojna. Jest tylko prawdopodobieństwo, że walczyć z sobą nie będą: to wszystko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W ubiegłym tygodniu na widowni wojennej nie wydarzyło się nic, coby było wypadkiem. Tylko czynności strategiczne, z punktu widzenia wojskowego ważniejsze od wypadków, bo przez rozstawienie sił, wytwarzające dla nich nieprzeparte warunki nie ulegały przerwie. Armia rosyjska wzmacniała się coraz bardziej ponad Jalu i Lao, docierając to do Widżu, to do Niu-czuangu i nawet nieco dalej na zachód. Surowa zapowiedź, że wszelkie stanowiska Chińczyków po za Murem Chińskim będą uważane za akt nieprzyjaźni, jawnie sprzeczny z neutralnością, okazała się skuteczną: Chińczycy, mimo zamiarów Juan-szykaja, cofnęli się na południo-zachód; zajęcie przez wojsko rosyjskie Liu-czau z dążnością ku Szan-hai-kuanowi, krańcowej stacyi kolei chińskiej, już we właściwej prowincyi Peczy-li, niedługo da na siebie czekać. Wtedy też całe pomorze zatoki Liaotuńskiej będzie w mocy rosyjskiej; usiłowania japońskie, niewykonalne w zimie, skutkiem lodów i nawałnic śnieżnych, z wiosną spotkają inną, poważną przeszkodę: zbrojną odporność armii mandżurskiej. Wylądowywanie wojsk na Korei trwa bez przerwy; ale przepaściste drogi tamują ich ruchy. Wnosząc z liczby podawanych statków transportowych (przeciętnie po 1,000 na statek), można oznaczyć siłę wojsk, dotychczas wysadzonych na ląd, w przybliżeniu na osiemdziesiąt kilka tysięcy. Stałe ich dążenie jest ku północy, i to po obu stronach gór, od zachodu i od wschodu. Flota japońska przez ubiegły tydzień nie przedsięwzięła nic; widziano ognie na morzu z Niu-czuangu; widziano i same okręty z półwyspu Kuantuńskiego, ale nie dostrzeżono nawet zamiaru działania.

Dnia 18 b. m. zgromadził się w Tokio sejm japoński, wybrał sobie marszałka, Matsudę, a d. 20 b. m. sam Matsu-hito go zagaił. Głównym przedmiotem sejmowania jest nerw wojenny. Pożyczka wewnętrzna, na 100 milionów yenów oznaczona, dała w zapisach 452 mil.; rzeczywisty wpływ będzie od zapisów niższym. Rząd oblicza koszta wojny do grudnia na 580 mil. yenów — przy małych potrzebach żołnierza japońskiego—może bez optymizmu. Czego zbraknie, ma dać monopol tytuniowy, przeciwko czemu protestują przyjaciele Amerykanie, ma dać podniesiona akcyza i podatek gruntowy. Dotychczasowe kołatanie, wywiadowcze, o kredyt zagraniczny nie było pomyślnem: pieniądz idzie za siłą i powodzeniem, a tych w danym wypadku nie widzi. Wszystkie stronnictwa, i najskrajniejsze nawet, postanowiły rząd popierać: na patryotyzmie nigdy Japończykom nie zbywało; teraz mają z niego nieubłaganą konieczność moralną.

Margrabia Ito d. 17 b. m. przybywa do Seulu, jako nadzwyczajny komisarz japoński do ustalenia stosunków prawnych między obu rządami i ustanowienia władz, mających je przez czas wojny utrzymywać. Japonia nie ma zamiaru wydzierać niepodległości Korejczykom, a dla wytworzenia stałego symbolu swego usposobienia podnieść chce poselstwo korejskie w Tokio przynajmniej do dawniejszego, przed wojną, znaczenia.

Na półwyspie Bałkańskim — wszystko jak było. Turcya zbiera wojsko, łudzi dyplomacyę, a Bulgarowie gotują się do czynu. Nowem jest rzucenie się w Macedonii Greków na Bulgarów.

We Francyi prawo o nauczaniu prywatnem z senatu przeszło do Izby deput. Ta, d. 15 b. m., przyjęła część art. I, usuwającą od czynnej oświaty wszelkie stowarzyszenia religijne; głosowało przytem 318 przeciwko 231. Art. II, kasujący nowicyaty w dzisiejszych kongregacyach nauczających, zamieniono w prawo d. 1[illegible] wraz z art. I, zmienionym przez wniosek p. Cailleux, który podwoił termin 5-letni zupełnego zniesienia szkół zakonnych. P. Combes mógł był wtedy bardzo łatwo ponieść klęskę, gdyby nie jego przezorna powściągliwość: nie upierał się przy swojem pięcioleciu, nie stanął też po stronie dziesięciolecia, uchwalonego tylko przewagę 11 głosów (282 przeciwko 271). Nowe prawo mierzy głównie we Freres Chretiens, „Freres ignorantius" nazywanych, którzy we Francyi utrzymują 3,000 szkół dla ludu. O przejściu całkowitego projektu przez Izbę ani na chwilę wątpić nie można. Energia rządu objawiła się pociągnięciem do odpowiedzialności tych biskupów, którzy do p. Lou[illegible]beta wystosowali protestacyę; rozsrożyła [illegible] jeszcze alokucya papieska d. 18 b. m., [illegible]wiście, nieprzyjazna reformie. W takich okolicznościach namawianie papieża przez dzienniki katolickie, aby przyjął p. Loubeta, gdy ten przybędzie, w środku kwietnia, w odwiedziny do Wiktora Emanuela, samemu prezydentowi wydawać się musi niedorzecznością. P. Loubet będzie tylko w Kwirynale, i to mu najzupełniej wystarczy. Była kwestya: czy ma jechać do Rzymu także i pani Loubetowa. [illegible] kwestya w rzeczypospolitej dość oryginalna,

9

Zofia Rygier-Nałkowska.

LODOWE POLA.

Napewno spóźnię się z mą odpowiedzią Januszowi. Dzisiaj Rosławski i Smiłowicz we dwóch odprowadzili mię do domu. Nie wiem, czy wogóle zdarzy mi się sposobność do rozmowy z nim bez słuchaczy. A może to nawet lepiej, że... Tylko Janusz tam ciągle czeka...

Oczy Rosławskiego są jedynemi na świecie, których wzroku nie umiem wytrzymać. To jedno spojrzenie potrafi mię wytrącić z równowagi, odebrać mi mą zwykłą, niezamąconą pewność siebie. Gdybym tego człowieka nie kochała, to musiałabym go strasznie nienawidzieć. Bo to jest ta jedyna siła, któraby była w stanie ujarzmić moją.

Pod koniec lekka rozmowa o miłości i małżeństwie.

Smiłowicz rozpatruje je z ekonomicznego punktu widzenia i uważa w dzisiejszych warunkach za *malum necessarium*. Swoją drogą komunikuje Obojańskiemu, że jakiś ich wspólny znajomy, który świeżo się ożenił, czuje się zupełnie szczęśliwy.

— Ha — robi dyskretnie uwagę Obojanski, — z początku i to nawet zdarza się czasami...

Rosławski uśmiecha się zimno. Jest właściwie zwolennikiem małżeństwa, co jest zupełnie zrozumiałe u człowieka trochę przeżytego i stęsknionego za legalną miłością. Najwięksi *viveur*'zy, jakich znałam, byli teoretycznie zwolennikami monogamii. I Imszański zawsze upewniał Martę, że gdyby nie niewierność kobiet i różne inne nieprzyjazne okoliczności, to najszczęśliwszym czułby się, mając w życiu jedną tylko kobietę.

Obojanski jest pod tym względem sceptykiem. To jedyna dziedzina, w której wykazuje trochę sprytu.

— Czy pani wyjdzie zamąż z miłości? — zapytuje mię nagle Rosławski z odcieniem pewnego subtelnego lekceważenia, z jakiem ludzie, podobni do niego, zawsze zwracają się do kobiet: jest to w nim zresztą czysto instynktowe, niewyrozumowane, gdyż bynajmniej nie podziela uprzedzeń Obojanskiego, co do umysłowej niższości kobiet.

Uśmiecham się spokojnie, panując nad dziwnem jakiemś załknieniem.

— Pytanie nazbyt kategoryczne... Doznaję wrażenia, jakby to był egzamin *interview*... Niechaj się pan przyzna: ba[illegible]dziej interesuje pana w tej chwili, c[illegible] na to odpowiem, niż to, jak uczynię na prawdę.

W oczach jego widzę błysk ironii, ale tym razem jakby w zastosowaniu do niego samego.

— Zaręczam pani, że nie, mówi z nacis[illegible]kiem.

— W takim razie powiem panu to wszystko, co wiem sama: jeżeli wyjdę za mą[illegible] z miłości — to na krótko, jeżeli zaś z rozsądku, z uświadomionem przeświadczeniem, że ten człowiek właśnie jest mi przeznaczony — to będę mężowi memu wierna d[illegible] śmierci.

— A które z dwóch tych przypuszcze[illegible] wolałaby pani?

— Drugie, ponieważ są dziedziny, w kt[illegible]rych nie lubię zmiany wrażeń. (Kłamię).

— Czy tak? — to samo jednak mogłaby[illegible] pani osiągnąć i w małżeństwie z miłości.

— Nie sądzę... Nie wierzę niestety w[illegible] wiecznotrwałość uczucia. Miłość w małżeństwie przeradza się zwykle później we wzajemny nawyk, poczucie jakiejś solidarności, niekiedy nawet przyjaźń i braterstwo dusz. Wtedy ludzie powinni się już właściwie rozejść.

ledwie że nie humorystyczna. Pod p. Combes'm zaczyna ziemia drżeć. D. 17 b. m. Millerand wniósł naganę za zaniedbywanie reform społecznych; tylko 19 głosów ocaliło gabinet.

W Przedlitawii Koło polskie godzi Niemców z Czechami — na większą jeszcze niezgodę. Na Węgrzech ten sam sejm, który jeszcze trzy tygodnie temu bronił ojczyzny odmawianiem podatków, teraz uchwalił półroczny budżet tymczasowy.

W państwie bojaźni bożej sejm cesarstwa poszedł na wypoczynek po naradach i uchwałach budżetowych. P. Bülow zawiadomił go podczas tych czynności, że rada związkowa przychyliła się do jego uchwały zeszłorocznej, znoszącej § 2 prawa z r. 1873 przeciwko jezuitom. Na tym sejmie nie wywołała ta wiadomość dreszczów radości, ale w sejmie pruskim wzbudziła dreszcz zgrozy. P. Bülow z pomocnikami swymi literalnie opędzać się musiał narodowo-liberalnym, którzy nawet posunęli się do biadania nad konstytucyą, dozwalającą takie ważne zmiany wprowadzać sejmowi cesarstwa bez opowiedzenia się sejmowi królestwa. Teraz dopiero wszyscy zaślepieni z r. 1873 mogli sprawdzić i zmierzyć w tych liberałach postępowych całą protestancką nienawiść do katolicyzmu. P. Bülow tłomaczył pobudki swe koniecznością oparcia się na centrum, z powodu niemożności opierania się o żywioły skrajne, a narodowcom wyraźnie powiedział, że się bez nich obejdzie; czas już zaniechać waśni religijnych i jąć się idealnego dobra: walki z demokracyą socyalistyczną. Można już teraz przewidywać wznowienie praw wyjątkowych „gegen d. staatsgefährlichen Umtriebe der Social-Democratie."

Cesarz Wilhelm 15 b. m. zawinął do Vigo; dzień następny spędził z Alfonsem XIII; d. 18 był w Gibraltarze; będzie w Neapolu, odwiedzi Wiktora Emanuela III, zawita i do Aten. Zdrowie jego nieosobliwe, głos zachrypły, humor osowiały i zamaszystość — która pełniła przy nim funkcyę geniuszu — funkcyi tej już nie pełni. I w rodzinie cesarskiej nie wszystko idzie jak najlepiej: rozkaz wojskowy przeniósł odrazu ośmiu oficerów, zaprzyjaźnionych z następcą tronu, do garnizonów prowincyonalnych: widocznie wesołość w przyjacielskiem gronie wylewała się już przez brzegi.

W okręgu Śrem - Środa p. Chłapowski wybrany do sejmu niemieckiego 12,230 gł. przeciwko 3.400.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

III. Klasztor Sök-oan-sa.

Urzędownie istnieją w Korei trzy rodzaje dróg: 1) wielkie gościńce, okopane rowami i mające od 20 do 30 stóp szerokości; jest ich wszystkiego sześć w całem państwie i wszystkie wiodą z kresów do stolicy; 2) drogi podrzędne, szerokości od 8 do 10 stóp; 3) ścieżki. Do jakich należała ta, którą wyruszyliśmy z Genzanu, doprawdy nie wiem. Z początku był to piękny, szeroki trakt, po którym szli tłumnie biało odziani ludzie w czarnych kapeluszach. Wielu jechało na osłach, mułach, koniach, nawet wołach. Ciężko toczyły się niezgrabne, dwukołowe wozy, naładowane snopami. Na brunatnych rżyskach ryżowych, po obu stronach drogi uwijały się gromadki biało ubranych żeńców. Jaskrawe, czerwone, zielone lub niebieskie zasłony dziewcząt migały na drodze — lub gorzały daleko wśród pól, jak ogromne maki. A w dali wyniosłe, szaro-niebieskie góry otaczały splotem dolinę. Szliśmy ku nim, ku bladej przełęczy, z po za której wyglądał łańcuch szczytów wyższych. Słońce, ślizgając się wśród zwichrzonych na niebie chmur i skalistych pod niemi wiszarów, wypełniało dolinę tłumem plam błędnych. Białe gromady idących ludzi i srebrna rzeczka wśród pól jesiennych to skrzyły się w blaskach promieni, to mierzchły niespodzianie w zapadających cieniach. Środkiem doliny biegł ubogi, jednodrutowy telegraf.

Nad rzeczką, którą ton-sa nazwał Tongul, wygiął się, jak stonoga, garbaty mostek chróściany na cienkich nogach. Mijamy malowniczą, kopcowatą górę, porosłą sośniną. Nareszcie widzę coś, co zapowiada osławione lasy korejskie. U drogi spostrzegam słup wyrzeźbiony w kształcie potwornego bałwana. Ma długi nos, wyłupiaste oczy i wielkie, wyszczerzone kły. Niegdyś był malowany na czerwono, ale deszcze i wichry mocno go uszkodziły. Jest to „Dzan-sion," słup drogowy i jednocześnie strażnik wzbraniający przejścia po niej złym duchom. Za dawnych czasów, kiedy gościniec Genzański był okopany rowami i miał przepisaną prawem szerokość, po obu jej stronach, co 10 *li* (5 wiorst) stały takie słupy. Obecnie znikły rowy, słupy, a miejscami nawet droga. Rozmyły ją powodzie, ulewy, rozorali chciwi ziemi wieśniacy. W jednem miejscu długośmy błądzili wśród bagnistych pól ryżowych, zataczając straszliwe zygzaki wysokiemi jak groble miedzami, nim trafiliśmy znowu na drogę. Wynurzyła się niespodzianie z rączego potoku. Okazało się, że kanał do zraszania pól zerwał w czasie deszczów tamę i obrał sobie za łożysko... gościniec. Dzięki temu przejeżdżamy na tyłach jakiejś ubogiej wioszczyny, obok kilku wspaniałych drzew i małego młynka, klekoczącego nad strugą. Wstępujemy na podgórze, dolina zwęża się, mijamy znowu szereg lepianek, skleconych z mułu i słomy i kierujemy się ku podobnym lepiankom, szarzejącym w nagim żlebiu niedaleko już przełęczy. Wioska zwała się Phabalba, co znaczy: stacya pocztowa.

— Dawniejsza stacya pocztowa. Teraz są inne. Dawniej cała obsługa pocztowa dostawała zamiast pensyi ziemię (do uprawy). W takiej wsi mieszkali sami pocztylioni i kuryerzy... Trzymali dużo koni. Poczta przewoziła tylko rządowe papiery i urzędników... Nikt nie mógł żądać podwody, jeżeli nie miał blachy z pozwoleniem — objaśniał mi ton-sa. — Od ośmiu lat jest inaczej. Każdy może brać na poczcie konie, ale nikt nie bierze, bo są drogie. Za to listy tanio kosztują i bez względu na odległość.

Zatrzymaliśmy się, aby popaść konia i pokrzepić się przed dalszą podróżą; do klasztoru pozostało 50 *li* (25 wiorst) *). Nie dostaniemy się tam przed nocą. Ex-stacya wyglądała bardzo marnie; miała budynki podobne do starych, zarzuconych chlewów i stajni, ludność ubogą, niesłychanie brudną i oberwaną. Wśród gromadki, otaczających nas dzieci, widziałem dziewczynki odziane jedynie w... kolczyki. O chłopcach nie mówię. A przecie zimny, przejmujący wiatr dął z góry.

Zażądałem jajek.

— Obsa! (niema).

Zażądałem ryżu. Też — *obsa!*

— Cóż więc macie?

— Zaraz będzie!— uspakajał mię ton-sa.

*) *Li* wymawiają również *ri*; i miara i nazwa chińska, równa się $^1/_2$ wiorście.

— A w małżeństwie z rozsądku?

— Kwestya postawiona odrazu na gruncie właściwym: bierze się zgóry pod uwagę odpowiedniość charakterów i indywidualności, co zapobiega na przyszłość wszelkim możliwym dysonansom.

— Można jednakże osiągnąć trwałość miłości drogą ciągłego czuwania nad nią, częstego nakładania maski, skazania się na pewną samotność w uczuciach i nastrojach, które mogłyby nas osłabić w oczach drugiej strony...

Przypominam sobie Janusza, który nie wiedział o tem...

— Nie warto zadawać sobie tyle trudu — mówię — gra nie warta świecy.

— Pozwolę sobie jednak zauważyć, że są ludzie, dla których szczęście chwili obecnej nie przedstawia wartości, jeżeli zgóry wiedzą, że im je wydrze jutro. Często wolą nawet wyrzec go się zupełnie.

Mówi spokojnie i objektywnie, ale ja w głosie jego wyczuwam coś w rodzaju groźby.

— No, to niechaj się żenią z rozsądku — mówię, opanowując w sobie nieusprawiedliwiony lęk.

— Niekorzystnie jest jednak dawać miłość i brać wzamian rozumowanie.

A — tak, rozumiem teraz. Czuję do niego prawie nienawiść: mogę podłożyć głowę pod koła pociągu, ale nie powiem nigdy, że robię to z miłości.

— Ludzie rozsądni powinni pamiętać, że „serce nie sługa," że po za wyrozumowanem, uświadomionem postanowieniem niema właściwie nic pewnego, mówię i staram się uśmiechnąć lekceważąco, a w sercu mam dławiącą jakąś trwogę, jakieś straszne przeczucie — prawie już pewne...

* *

Tym razem wreszcie tylko Rosławski, Obojański i ja. Przez cały wieczór siedzę w kącie, mówię niewiele i drżę z trwogi przed tą wyroczną chwilą. A do tego rudego, wysokiego pana w binoklach czuję wprost nienawiść.

Rosławski gra Wagnera — twardo, bezdusznie, jak automat. Muzyką swą wprost kaleczy mi nerwy, kanciastymi ruchami robi wrażenie kościotrupa.

A Obojański jest zachwycony, kręci się na palcach po pokoju, skrzypiąc zlekka posadzką, wybiera z etażerki nuty dla Rosławskiego i układa je w stos na pianinie. Od czasu do czasu, spoglądając ku mnie, szepce prawie głośno: „prawda, jakie to ładne"? Nakoniec przynosi mi wielką jakąś encyklopedyę niemiecką, rozkłada i pokazuje do przeczytania artykuł pod „Wagner."

Chce mi się rozpłakać ze zdenerwowania. Przechylam głowę na oparcie sofy i patrzę w sufit, by módz łatwiej połykać łzy. Marzę...

Rycerze jacyś, w zbroję zakuci, jadą na białych koniach przez cudny, odwieczny las. Niebotyczne dęby o czarnej korze i granatowych liściach, muskularne, poskręcane, krają korzeniami ziemię. Z pośród malachitu mchów wyrastają seledynowe koronki paproci. Między drzewami tańczą wesołe rusałki i śmiech dzwoniący sypią wkoło siebie, jak perły. A wdali, po zaklętem, czarnem jeziorze płynie cicho łabędź zamyślony — w jasny, prześwietlony dziwną, zimną jasnością zmierzch...

I nagle upadł grom, czerwony grom.

Zapadł się pod ziemię las dębów i jezioro. — A przecież burze zdarzają się tylko w upalne dni letnie...

Nie — nie — tamto był sen.

Widzę teraz... Pod zimnem, szklanem niebem znów wyciągają się w stężały z mrozu bezkres moje lodowe pola... Ogarnia mię straszna, dławiąca trwoga w nieskończoności lodów, pod namiotem chłodnego, zielonego światła. Bo to jest królestwo mojej duszy.

Wdali, na tle stygnącej zorzy, stoi wielki posąg bazaltowy. Nie boi się ani pustki

Brudna karczmarka z golemi, obwisłemi piersiami, ratując honor swego zakładu, pobiegła do sąsiadów. Po niejakim czasie podano mi trzy jajka, ale każde pękło z hukiem bomby — przy pierwszem dotknięciu łyżeczką. Oddałem je zdziwionemu mą odmową i ucieszonemu swym nabytkiem ma-fu. Podano mi następnie imbryk z gorącą wodą: okazała się brudną i cuchnącą; podejrzewam, że w niej to właśnie gotowano przed chwilą jajka. Wyraziłem niezadowolenie. Naówczas sam ton-sa poszedł doglądać przyrządzenia herbaty. Gromadka poważnych, brodatych Korejczyków siadła na piętach wśród drogi i, zapaliwszy małe fajeczki, czyniła pilnie spostrzeżenia nad nami. Okoliczność, że dałem dzieciom trochę cukru, dobrze ich względem mnie usposobiła. Zbliżyli się zaraz i zaczęli dotykać mego kortowego paltota, pytając, czy to skóra i ile kosztuje?..

Wyjechałem trochę skwaszony tą pierwszą wizytą we wsi korejskiej, gdyż licząc na krajowy ryż, nie wziąłem wcale z sobą prowiantu.

— Tutaj nikt się nie zatrzymuje; wszyscy jadą wprost do *Ań-bion* u. I my byśmy też się nie zatrzymywali, gdybyśmy wyjechali wcześniej'.. — pocieszał mnie ton-sa.

Wdzieramy się na niewysoką przełęcz Tan-sa-koge *), dość łagodną od strony Genzanu. Wokoło wznoszą się góry ogładzone, kopcowate, porosłe nizką sośniną i dębniakiem. Na samej przełęczy leży kupa kamieni, coś w rodzaju mongolskiego „obo" i stoi drzewo obwieszone ofiarami ze szmatek kolorowych, z nitek, z papierków, pęczków włosienia, starych chodaków itd. Widziałem już takie drzewo u drogi na 7-ej *li* od Genzanu. Tłomacz nazywał je „dżida." Są poświęcone „duchowi miejsca" i zupełnie podobne do takich drzew jakuckich.

Stanowczo szamanizm był i jest najgłębiej zakorzenioną i najbardziej rozpowszechnioną z religij azyatyckich. Spotykałem go w pełnym rozwoju lub szczątkach na ogromnych przestrzeniach, poczynając od brzegów morza Kaspijskiego do Sachalinu i od oceanu Lodowatego do wysp archipelagu Japońskiego. Były to zawsze, nawet w szczegółach, te same wierzenia i praktyki społeczeństw, organizujących się do walki z przyrodą. W podstawie ich leży pojęcie odkupienia.

*) Koge — przełęcz.

Południowy stok stromo spada na dół. Z załomu wszakże niema widoku, gdyż garby gór tworzą wokoło małą kotlinkę. Dopiero gdyśmy się spuścili niżej, rozwarł się przed nami rozległy krajobraz sfalowanej doliny płowej, przeciętej strugą srebrną, umajonej ciemnymi gajami, usianej dymiącemi się wsiami... Widnokrąg zamykała potężna ściana czerwono-granitowych gór, wspartych o chmurne niebo. Były to góry Dyamentowe (Kym-hań-san), cel naszej podróży. W ich pazusze, wysoko u szczytu chowa się słynny klasztor buddyjski Sök-oan-sa.

Straszono mnie w Genzanie, że na drodze doń istnieje urwisty gzems, tak wązki i stromy, że przebyć go może jedynie... błogosławiony. W pobliżu wznosiły się kopcowate, ogładzone przez deszcze wyniosłości, porosłe rzadkimi krzewami.

Telegraf i droga główna poszły naprzełaj przez dolinę ku południowi, a myśmy zawrócili na zachód. Towarzysząca nam od niejakiego czasu gromadka wieśniaków, idących na zarobek do Seulu, grzecznie pożegnała się z nami przyciśnięciem rąk do piersi. Jeden z nich powiedział „goodbye," a drugi „proszczaj"; obaj byli we Władywostoku.

Dążyliśmy wązką drożyną na wysokim brzegu rzeki Nam-san ku jej źródłom. Bystry, kręty prąd z szumem przelewał się w dole wśród niezliczonych mielizn piaszczystych i ławic żwirowych koryta. Miejscami ścieżka nikła, zapadając w nurty wraz z podmytem, gliniastem urwiskiem. Wówczas z trudnością drapiemy się na stoki, gdzie chropawe głazy zaledwie zlekka pokrywa cienka powłoka skalnych okruchów i zwiędłej, jesiennej trawy. Mijamy małą kapliczkę z rogatym dachem, o okapach wachlarzowych, jak nauszniki japońskiego szyszaka. Pod dachem, za sztachetami, stoi słup kamienny, upstrzony chińskimi hieroglifami. Pewnie rodzina i poplecznicy jakiego administratora wysławiają w ten sposób jego zasługi.

Znowu opuszczamy drogę, która po garbatym mostku dylowym przerzuca się na brzeg przeciwny. Jedziemy dalej ledwie widocznym szlakiem. Z po za górskich fałdów wyłaniają się czarne urwiska. Czerwone i żółte powoje zwieszają się tu i owdzie z ich zrębów; po za nimi błękitnieje oczyszczone z chmur niebo. W dole, wśród zielonawych, omszałych głazów, burzy się rozszalała rzeka. Ścieżyna wije się nikłym gzemsem pod festonami powoi i urywa wysoko, na tle błękitu.

— Aha, rozumiem: oto jest droga błogosławionych.

Konie drą się w górę po zrębach, jak po schodach; wciąż jeno węszą kamienie, zanim postawią na nich mocne, małe kopyta. Juki, kolana moje i kapelusz co chwila trącają o nawisłe z boku skały. Czuję, że wartoby zsiąść z konia, ale nie mam gdzie. Siedzę więc dalej, jak trusia, ogłuszony łoskotem kotłującej się w dole rzeki. Ukośne słońce rzuca tęczę na wzlatujące w górę jej puchy i pyły. Wreszcie stanęliśmy na samej górze, na małym ganeczku, gdzie droga urywa się za zrębem skały. Spoglądam przed siebie i zaczynam w niebogłosy krzyczeć na ma-fu, wiodącego przodem objuczonego rzeczami konia. Nie słyszy mię z powodu huku wody, ogląda się zapóźno. Wierzchowiec mój już pełza na brzuchu wśród chaotycznie, prostopadle prawie leżących głazów. Wije się pode mną jak jaszczurka i wciąż prawą nogą, jak kot łapą, próbuje skały przed sobą. Moje nogi chybocą się gdzieś koło jego uszów. Najmniejsza niezręczność ruchów a obaj spadniemy w przepaść...

— Twardy z pana człowiek. Tędy nikt konno nie jeździł — pochwalił mię ton-sa, gdyśmy stanęli na dole.

O tak! Mam nadzieję, że za ten przejazd łaskawy Budda przebaczy mi wszystkie moje przewinienia. Dlaczego jednak nie ostrzegłeś mię, żebym zsiadł z konia?...

Ton-sa w zamyśleniu poskrobał się w podbródek, poczem zaczął coś ostro wyrzucać ma-fu. Ten mu się odcinał. Okazuje się, że istnieje o wiele dogodniejsza droga. Na chwilę błyska w mej głowie podejrzenie, że dla tych ludzi byłoby bardzo dogodnem, gdybym wpadł w przepaść: zostałby im drugi koń z rzeczami i pieniędzmi.

— Tamtą drogą ledwie po północy stanęlibyśmy w klasztorze! — spokojnie tłomaczy mi ma-fu.

Znowu otwarła się przed nami rozległa dolina: pośrodku niej drzemie w mglistem słońcu jesiennem zasnuta dymami wieś. Po za nią zatacza foremne półkole długi, jak reduta, lecz niewysoki wzgórek, uwieńczony kolumnadą pojedynczych sosen. Gdyby to była Japonia, pomyślałbym, że tam umyślnie zasadzono te drzewa dla piękności obrazu!.. Zresztą i tutaj w poszanowaniu drzew, w rozrzuceniu gajów czuć wszędzie mistrzowskie, misterne dotknięcie mnichów

---

bezkresnej, ani chłodnego światła zórz polarnych, ani srebrnych oczu czasu. Spokojny i nieulękniony. To Rosławski.

Idę do niego, kopiąc się przez zaspy śnieżne — i padam na twarz u stóp jego.

I błagam: zakryj mi oczy przed bezmiarem i pustką, osłoń mię przed tem mrożącem tchnieniem śmierci, daj mi pozostać w państwie duszy — a nie umrzeć. Bo dzisiaj już ja strasznie słaba jestem, bo dzisiaj już boję się tych pól lodowych

A on mówi:

— Pierwej tu na śniegu załóż wkoło mnie ogród zwrotnikowy, pierwej zakwitnij w nim sama różą purpurową i płomienną...

— Panie — róże kwitnąć nie mogą bez słońca...

I znowu grom... Jego niema... Zostałam sama wśród moich pól lodowych — i nie umarłam.

Leżę spętana okowami z lodu. A pod namiotem nieba, w zielonawem świetle zorzy połyskują srebrne skrzydła mojej duszy: nie chciała dzielić ze mną żarów lata — i teraz nie chce, bym dzieliła jej królestwo.

Na piersi mojej leży wąż i z mej szyi toczonej pije ciepłą krew...

Żegnamy Obojańskiego i we dwoje wychodzimy na ulicę.

— Mam panu coś do zakomunikowania, właściwie chcę zadać panu jedno pytanie...

— Służę pani.

Z chwilą, kiedy zaczynam mówić, nie czuję już trwogi. Wstępuje we mnie ogromny jakiś spokój.

— Przedtem jednak postawić muszę jeden warunek: wymagam, by odpowiedź pańska zawierała się jedynie w słowie: „tak" lub „nie." Idzie mi o to, by nie słyszeć żadnych komentarzy. Czy dobrze?

Z całą przyjemnością zgadzam się na warunek pani — mówi i uśmiecha się.

— Rzecz tak się przedstawia: odkąd pana poznałam, uważam pana za jedynego człowieka, który mógłby zapewnić mi szczęście. Niedawno oświadczył mi się człowiek, zasługujący na sympatyę mą i zaufanie. Sądzę, że w ostatecznym razie szczęście może zastąpić świadomość, iż jest się bardzo kochaną — i dlatego pozostawiłam sobie miesiąc czasu do namysłu. Decyzya zaś moja zależeć będzie od pańskiej odpowiedzi. — Właściwie dodać muszę, że treść jej przewiduję zgóry; chodzi mi o to tylko, by zdobyć w tym względzie zupełną pewność, by kiedyś, później w życiu nie robić sobie wyrzutów, że sama ominęłam szczęście...

Pauza.

— Ośmieliłbym się prosić panią o ściślejsze sformułowanie zapytania.

— Czy zechce się pan ożenić ze mną, czy nie?

Znowu pauza.

— Nie — jednakże...

— Przypominam warunek.

Milczenie.

Przed bramą mego mieszkania spokojne, uprzejme pożegnanie.

Nazajutrz zrana, idąc do biura, rzucam w zieloną skrzynkę długą, pachnącą kopertę, adresowaną do Janusza.

Decyzya moja wypadła mimo wszystko przecząco.

Jestem już spętana przez duszę i nie mogę opuścić moich lodowych pól.

* * *

Nie cierpię już... Przez te długie dni i noce nie płakałam ani razu. Nie cierpię: w delirium męki przeszłam tę granicę, po za którą wrażenia nie różniczkują się już na radość i ból, za którą noc nieszczęścia nie przeciwstawia się już dniowi.

O cichym zmroku jesiennym jestem sama w moim ciemnym pokoju. Chodzę bez szelestu po miękim dywanie, by nie obudzić duszy mojej, która, znużona śmiertel-

buddyjskich. Szare, strome strzechy chat toną w zieleni. Za chwilę cała ona niknie za gęstym, przydrożnym szpalerem. Ilmy, wierzby, dęby, sumaki, sosny, cyprysy japońskie splatają się w śliczną ścianę powietrzną, dzierzganą światłem, uwitą żyłkami czarnych gałązek, malowaną jaskrawem złotem, karminem i ogniem opierzchłych liści jesiennych. Szpaler wygina się łukiem i urywa u rzeczki, nad którą chlupie i klekocze cały szereg tłuczek do ryżu. Każda nakryta czochratym kołpakiem trzcinowym; nad urwistym brzegiem wystają jedynie ciemne koryta, które prąd, płynący zdala rynienką, nieustannie napełnia. Ciężar wody pochyla wtedy kołyszące się na kołkach koryto i unosi do góry jeszyję z tłuczkiem, ukrytą pod daszkiem. Koryto opróżnia się, szyja przeważa i pięść jej z impetem pada w pełną ryżu stępę... i tak wciąż i wciąż, dzień i noc, aż zeskoczą krzepkie, brunatne łupiny z perłowego ziarna.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYŁA LODU.

„Pisma rosyjskie donoszą, że w miejscowościach, gdzieześrodkowane zostały wojska rosyjskie, znajduje się żyła podziemnego lodu. Żyłę tę odkrył znany uczony Middendorff. Ciągnie się ona od cieśniny Beryngа przez całą Syberyę, część Mandżuryi i dochodzi nawet do stepów kirgiskich. Odkrycie to potwierdza również prof. Zaleski, który przy badaniu źródeł mineralnych natrafił w obwodzie Barnaulskim na pokład odwiecznych, podziemnych lodów. W sierpniu nawet, na pewnej głębokości w studniach, znajdował prof. Zaleski skały nigdy nietopniejącego lodu. W dolinach bardzo łatwo jest dokopać się do lodu, gdyż znajduje się on w niektórych miejscach tuż pod cienką warstwą ziemi. Okoliczność ta posiada nadzwyczaj doniosłe znaczenie dla armii, czysta woda bowiem jest jednem z najpewniejszych zabezpieczeń od epidemij, od których na wszystkich wojnach ginie dziesięćkroć tyle ludzi, co od kul. Żadne zaś sztuczne oczyszczanie, za pomocą najlepszych nawet filtrów, nie może dać wody tak czystej, jak woda otrzymana z lodu. Przytem, otrzymując wodę z lodu, unika się jednego jeszcze niebezpieczeństwa—otrucia. Podczas ostatniej kampanii tureckiej ludność na Kaukazie przed opuszczeniem swoich domowisk część studni zasypała; część zaś zatruła. Filtry zatrzymują wprawdzie drobnoustroje, lecz rozpuszczoną w wodzie truciznę przepuszczają. Żyły lodowej zaś zatruć nie można."

Dotychczas znaliśmy dziennikarskie... kaczki, obecnie dochowaliśmy się... żyły lodu!..

Ciągnie się ona podobno „od cieśniny Beryngа, przez całą Syberyę, część Mandżuryi i dochodzi nawet do stepów kirgiskich." Zaiste: wstąpił do piekieł, po drodze mu było! Znakomity uczony, któremu przypisują powyższe odkrycie, gdyby nie był nieboszczykiem, zachorowałby napewno od zrobionego mu zaszczytu. Nie uratowałby go nawet nasz rodak, prof. Zaleski, który natrafił na pokład odwiecznych lodów w obwodzie Barnaulskim, a więc zgórą o 6,000 wiorst od Mandżuryi i pod innym zupełnie południkiem.

Istotnie, A. T. Middendorff miał nieszczęście dowieść istnienia na znacznej przestrzeni Syberyi *strefy wiecznej, podziemnej zimy*, w której temperatura stale trzyma się poniżej zera. Są tam więc przemarzłe piachy, przemarzłe skały, przemarzłe gliny i żwiry... i zapewne jest *trochę* przemarzłej wody, a właściwie błota. Ale o „żyle lodu," któraby mogła zaopatrywać dwukroćstotysięczną armię w wodę, nauka nie wie. Daremnie dziennikarze upewniają, że taka woda lodowa byłaby bardzo zdrowa i niemożliwa do zatrucia, a więc ze wszelkich względów niezmiernie pożądana. Takiej żyły w Mandżuryi *niema*, a jeżeliby nawet znalazły się tam gdziekolwiek na północ od Chinganu małe gniazda lodowe, to tak rzadko i głęboko, że odszukanie ich, wydobycie i zużytkowanie drożejby kosztowało, niż założenie fabryki lodu sztucznego z wody dystylowanej...

ŻYCIE SPOŁECZNE.

EKONOMICZNY PODKŁAD współczesnych małżeństw.

Nie troszcząc się o teoretyczne rozwikłanie spornej kwestyi postanowiła rzeczywistość rozwiązać ją sama praktycznie. O psychicznem i fizycznem uzdolnieniu niewiast do rozlicznych zawodów przeczą jedni, twierdzą drudzy, i długo zapewne jeszcze będzie ta sprawa przedmiotem rozpraw w mniej lub więcej uczonych książkach, broszurkach, odczytach, rozmaitych kółkach i czytelniach, a zwłaszcza w artykułach gazeciarskich. Długo zapewne jeszcze każda, wybitnie zdolna żeńska jednostka stawiana będzie przez życzliwych za przykład, a każde rozpaczliwe opuszczenie rąk po wieloletniej walce z życiem, z przeszkodami, wznoszonemi przez otoczenie, z głupią a tak bolesną nieraz złośliwością, uważane będzie za dowód przyrodzonej słabości, skazanej na szukanie oparcia w tradycyjnych formach życia lub wegetowania. Raz poruszone zagadnienie, nietylko na mocy bezwładności nie chce już zejść z porządku dziennego, lecz owszem w miarę roztrząsania staje się coraz to bardziej złożonem, zawiłem, trudnem i w prost rozpaczliwie beznadziejnem na powierzchni życia, w dyskusyi. A w głębiach zaś, nie troszcząc się o teoretyczne rozwiązanie sprawy, rzeczywistość sama znajduje dla niej praktyczne załatwienie, godzi sprzeczności, pozwalając im istnieć obok siebie, wyrównywa różnice, nie kładąc tamy swobodnemu ich przejawianiu się wśród mnogości kształtowań społecznych. I tak, mamy wśród kobiet typy ludzkie, szczerze ludzkie i wiele ptactwa domowego, bojowniczki dla których społeczeństwo zakrywa jednostki i kochanki, dla których miłość jest jedynym, zrozumiałym celem życia, hetery i działaczki, wiecznie koło jakiejś sprawy zaprzątnięte, tylko matki i srogą nienawiścią do męzkiego rodu pałające stare panny. Jest też dość miejsca na każde uzdolnienie i powołanie, dosyć miejsca nawet na te wszystkie gwałcenia indywidualnych uzdolnień i upodobań, których niema tragedya rozgrywa się dookoła.

Przyszłość, ściśle z losem niewieścim złączonego małżeństwa, niepokoi również chętne do dyskusyi umysły. Zanikła już wiara w doskonałość wiekowej puściny, a wychowanie, wspomnienia lat dziecinnych, do których ostrze krytyki niechętnie przykładamy w wieku dojrzalszym, stają w jej obronie. Więc, by z przeszłością nie zerwać, a przecież uczynić ustępstwo na rzecz krytyki, tak jawnie wywołanej stosunkami, że niczyje uszy przed nią zamknąć się nie mogą, podnosimy roztrząsanie przyszłej formy małżeństwa do rzędu „zagadnień," palących zagadnień dnia, któ-

---

nie, zasnęła. — Boję się ruchów własnych... Drżąca z zimna — czy z pustki — oparta o czarną niszę drzwi, otulam się miękką, sznelkową portyerą, niemym krzykiem rozwieram omdlałe usta i cichym, umęczonym wzrokiem patrzę w rozmigotaną ciemność.

Nie cierpię. Jestem w tym świecie, gdzie noc nieszczęścia nie przeciwstawia się już dniowi, gdzie króluje cichy zmierzch—bez gwiazd i bez słońca.

Niema mnie... Jestem po za bytem i niebytem. Jestem w tym świecie, gdzie jawa i złuda nie wytrzymują przez wieki wrogiego, nieugiętego wzroku swoich oczu, gdzie krzywda, w purpurowy, królewski płaszcz krwi odziana, nie wabi za sobą na malachicie mchów leśnych roztańczonej zemsty, gdzie bladością śmierci skamieniała nienawiść nie tuli do swej piersi bazaltowej rozpłakanego bożka miłości, gdzie marmurowy posąg dumy nie bije czołem przed skostniałem widmem trwogi, gdzie niema smutnych zwycięztw i potwornej rozkoszy ukorzenia się przed swoją potęgą.

Niema mnie... Jestem w świecie, do którego nie dochodzą bezkresy nieskończoności, bo nigdy nie było w nim granic, jestem w świecie, gdzie nie stanął czas, chociaż nie idzie, gdzie niema samotności, chociaż niema duchów siłą równych, gdzie niema samotności, ponieważ — niema mnie.

Nie cierpię... Jestem w świecie, w którym mnie niema.

Mogłabym umrzeć, gdybym chciała — ale z mem pięknem ciałem trudno rozstać się mojej mądrej, smutnej duszy. Więc pozwalam sobie żyć.

Ale wszystko mi jedno. Jestem w świecie, którego nigdy oglądać nie będzie moja dusza — bo dusza moja skończy się w chwili śmierci.

I nie dlatego, że *tam* jest nicość. (Jakiej olbrzymiej potęgi wiary trzeba, by uwierzyć w to, że *tam* nic niema). Nie mogę wierzyć w nicość — bo jestem w świecie, w którym niema bytu i niebytu, w którym niema ja i nie ja, w którym dusza nie położyła na ciele swej lodowej dłoni, bo jestem w świecie, w którym niema mojej duszy.

Dusza moja skończy się w chwili śmierci — nie dlatego, że *tam* jest nicość, tylko dlatego, że *tam* niema niezniszczalności substancyi.

Mogłabym umrzeć, gdybym chciała — ale wszystko mi jedno: nie trzeba mi śmierci na to, by poznać zagadkę bytu. Bo dziś wiem wszystko: wiem, że *tam* niema przeciwstawienia wiedzy i niewiedzy, że *tam* niema żądzy poznania. I dlatego nie poznam nigdy zagadki bytu. I dlatego dzisiaj ją znam.

Wiem to, czego nie wie nikt: że nie potrzebuję jej wiedzieć na to, by wiedzieć wszystko.

Niema mnie. Jestem w świecie, który jest negacyą tego świata — ale taką negacyą, w której niema rozróżnienia negacyi i konkretu.

Ale wierzę w jedną rzecz, która jest jedyną, która jest.

Rzeczą tą jest „nic."

Takie „nic," które nie przeciwstawia się „tak," tylko przeciwstawia się „tak i nie," razem wziętym.

Takie „nie" — powiedział mi Rosławski.

A nie cierpię dlatego, że jestem w świecie, gdzie nie przeciwstawiają się sobie radość i cierpienie.

KONIEC.

re powinny być załatwiane w sposób, o ile możności, jasny, prosty i stanowczy — by się życie do tej odpowiedzi łatwo zastosować mogło.

Wielu, w poszukiwaniach przyszłej formy małżeństwa, broni je przed zbyt śmiałymi planami reform. Małżeństwo współczesne zawsze uważane bywa za zjawisko treści zupełnie jednolitej, za fakt społeczny tejże samej niezmiennie wagi i doniosłości dla biorących w niem udział czynników. Wprawdzie ostatnie lata o tyle rozpowszechniły już zdobycze wiedzy socyologicznej, że nikt monogamii za daną od Boga formę współżycia między mężczyzną a kobietą nie uważa. Lecz sama już chęć odnalezienia przyszłego typu małżeństwa jest wyraźnym dowodem, że wcale nie współmierne zjawiska, objęte tem jednem słowem, bywają przez ogół przeoczane lub też mylnie utożsamiane. Treść bowiem współczesnych małżeństw wykazuje wiele różnic, odpowiadających różnicom w sposobie życia — między wsią a miastem z jednej, między posiadaniem a nieposiadaniem z drugiej strony.

Małżeństwo na wsi jest to połączenie posiadania i zdolności gospodarczych z obu stron. Właściciel kawałka ziemi szuka „dziedziczki.“ Jeśli jest sam zamożny lub posiada bodaj z pół morga gruntu, jeśli jest biedakiem zawsze jakiś kawałek ziemi wydaje mu się koniecznym warunkiem zawarcia związku małżeńskiego. A kobieta jego ma być zdrowa i wesoła, „silna w gaści“ i wytrzymała, bo bierze ją do pracy, zarówno jak ona jego. Obie strony — mężczyzna i kobieta — utożsamiają piękność ze zdrowiem, a zdolność do zawarcia małżeństwa z posiadaniem. Odkąd minęła w literaturze europejskiej ckliwa czułostkowość w stosunku do wieśniaków, która kazała malować ich w kłamliwem świetle cnót wszelakich, trzeźwy, przykro trzeźwy nieraz charakter małżeństw wiejskich bywał bardzo wiernie przedstawiany (u nas np. przez Sewera, za granicą—Thoma, Zolę i inych). Nawet z pewną lubością, jakby mszcząc się nieświadomie za wiekową modę, powieściopisarze wpadają w drugą ostateczność, opisują małżeństwo wiejskie, jako prosty interes kupiecki, przy którym osławiona moralność kupiecka jaskrawo nieraz występuje po obu stronach.

Wśród proletaryatu miejskiego małżeństwo jest połączeniem dwóch sił roboczych. Dla robotnika miejskiego istnieje poniekąd przymus do małżeństwa. Z małżeństwem połączona jest dlań najczęściej poprawa bytu, bo żona jest kucharką, praczką, gospodynią, chętną, wierną i bezpłatną, gdyż sama zarabia na swoje utrzymanie. Niewieście zaś małżeństwo daje tylko zwiększenie pracy, pomnożenie ciężaru bytu o troski rodzinne, o nieprzespane noce, o te wszystkie bóle, które z cudzych barków bierze na własne. Nie istnieje tu dla niej ani ekonomiczna, ani nawet towarzyska konieczność zamążpójścia; w tej sferze staropanieństwo zbyt jest zwykłem, by miało być przedmiotem złośliwych uwag lub śmieszności—więc też na targu małżeńskim kobieta posiada pewną przewagę nad mężczyzną, który reprezentuje podaż. Ona więc stawia warunki, ona szuka piękności i młodości, pragnie kochając wyjść za mąż, bo miłość ma stać się dla niej wyrównaniem pogorszonych przez małżeństwo warunków życiowych. Mężczyzna zaś tej sfery szuka przeważnie kobiety, której stateczność gospodarcza i zdolność zarobkowania dawałyby mu rękojmię szczęśliwego pożycia. Stateczność jest w tych warunkach cnotą niemal i dlatego wśród proletaryatu kobiety starsze są nietylko pożądane w małżeństwie, lecz znajdują młodych mężów. *Kobieta-robotnica wybiera i tworzy w swojej klasie estetyczną opinię na swoją korzyść,* wyrabiając pewną pobłażliwość na własne niedobory fizyczne, a ostro krytykując płeć drugą. O jej wartości rozstrzygają przymioty gospodarcze — gdy te posiada, nawet nie będąc według mieszczańskiego wartościowania młodą i ładną, przedstawia, dla pragnących wejść w związki małżeńskie mężczyzn swojej klasy, bezsprzecznie wiele powabu niewieściego. Nie jest to wyrachowanie, lecz poprostu *stosunkami ekonomicznymi wywołany sposób estetycznej oceny.*

W warstwach średnich, wśród inteligencyi i uboższego mieszczaństwa, mężczyzna wnosi w małżeństwo siłę roboczą lub zarobkową, majątek; kobieta zaś — cóż ona właściwie wnosi? Dochód z posagu — jeśli ma jaki — wobec znacznie małżeństwem powiększonych kosztów utrzymania bardzo mała w budżecie rodziny odgrywa rolę. Jej siłę roboczą zastępuje opłacana przez męża służba, jej opiekę nad dziećmi szkoła i fachowi nauczyciele, jej zaś trud gospodarczy, który stworzył należące już do przeszłości pojęcie gospodyni, przeszedł na producentów zawodowych, dostarczających „towaru“ dla opędzenia potrzeb rodziny. Znaczenie gospodarcze kobiety jest więc dla mężczyzny małe, a jej osobiste, zwłaszcza fizyczne przymioty — być *żoną* — najważniejsza funkcya w małżeństwie mieszczańskiem — stają się rzeczą pierwszorzędnej wagi. Mamy więc odmienne wartościowanie po obu stronach: *kobieta ocenia mężczyznę z punktu widzenia uzdolnienia gospodarczego,* od którego zależy wyłącznie los nowej rodziny; *mężczyzna zaś kobietę — z punktu widzenia przeważnie estetycznego.* Młodość i piękność niewieścia mierzone więc są najsurowszą miarą i spotykają nieubłaganych sędziów. Ledwie z podlotka rozkwitła w dziewicę, kandydatka staje się „niezupełnie“ młodą, jeśli w rok nabywcy nie znajdzie, a „starą,“ jeśli w panieństwie doczeka — lat dwudziestu czterech, nietylko w oczach otoczenia, ale, co dziwniejsza, we własnych. Przeciwnie zaś, mężczyzna tych sfer „jest zawsze dosyć przystojny,“ „nie starzeje się tak szybko“ i dopiero około czterdziestki do „pełni sił“ dochodzi i to znowu nietylko w mniemaniu własnem, ale i drugich.

Dla kobiety sfer średnich małżeństwo jest koniecznością ekonomiczną i towarzyską — *ona* więc stanowi podaż na rynku małżeńskim; dla mężczyzn zaś, zwłaszcza mieszkających w większych miastach, przymus małżeński nie istnieje (kluby, restauracye, prostytucya). On więc jest nabywającym, wahającym się i wyczekującym — *i wytwarza, jako silniejszy, estetyczną opinię wśród odpowiedniej klasy społecznej.*

Walka o „równouprawnienie“ ma wyprzeć mężczyznę z tego uprzywilejowanego stanowiska i dać kobiecie prawo swobodnego wyboru męża — naturalnie obok wielu innych praw! Równouprawnienie — to nie walka o pracę i możność zużycia sił, bo na to w rodzinie mieszczańskiej znalazłoby się jeszcze sporo miejsca, ale walka o możliwość *zamiany tej pracy* na sprzedawaną na rynku siłę roboczą, *na towar.* Wśród gospodarki, opartej na produkcyi towarowej, wielkość udziału na rynkach kupna i sprzedaży rozstrzyga o wielkości wszelkich praw — praca zaś najpotrzebniejsza i najuciążliwsza, jeśli nie ma charakteru wymiennego i nie daje przystępu do rynku, nie wyswobadza tem samem z zależności od szczęśliwszych zarobkujących.

W wyższych i najwyższych sferach towarzyskich małżeństwo *jest zazwyczaj połączeniem dwóch majątków,* obowiązkiem społecznym, wolnym po obu stronach od bezpośredniego przymusu ekonomicznego. Jednakowość położenia zbliża znowu sposób wartościowania, które się odbywa z punktu widzenia majątku, tradycyj rodowych, zwyczajów towarzyskich i przymiotów osobistych. Kobieta ceni urodę mężczyzny tak prawie, jak on jej wdzięki niewieście. Na równi z kobietą proletaryatu, dla której praca na utrzymanie męża lub kochanka nie jest wcale ujmą, która prawo do drobnego bodaj błysku szczęścia miłosnego okupuje nieraz świadomie pieniędzmi zdobytymi za krwawy znój lub hańbę, nie waha się kobieta z arystokracyi lub z *haute finance* kupować sobie czułości mężczyzny w małżeństwie—lub po za małżeństwem. Tam praca, możność zarobkowania, tutaj zaś posiadanie dają kobiecie pewnego rodzaju wyniosłość, która się objawia w stawianiu wymagań w miłości. *Ona* wybiera, *jej* żądania mają być zaspokojone. Ileż to kronika skandalików codziennych dostarcza nam ciągle przykładów małżeństw artystek i śpiewaczek, zarabiających krocie, ze zrujnowanymi panieczykami, którzy do małżeństwa wnoszą tylko imię lub piękność. Kobieta niezależna, kucharka, artystka, czy milionowa dziedziczka *wybiera* człowieka, którego kocha, „dobrze wychowana“ dziewczyna z porządnego domu czeka, aż się ktoś w niej zakocha. Musi zrobić dobrą partyę, bo na złą zbyt nędznie jest na życie zaopatrzona!

Połączenie własności i pracy lub też tylko pracy albo tylko własności, utrzymywanie kobiety przez mężczyznę i — rzadkie co prawda — mężczyzny przez kobietę, czynią z małżeństw współczesnych instytucye zupełnie różne pod względem treści ekonomicznej i etycznej — po za jednakową formą współżycia jednego mężczyzny z jedną kobietą. Wytwarzają one też w zasadach estetycznych, w ocenach przymiotów osobistych i wartościowania taką plączącą się i krzyżującą rozmaitość, że nie sposób podciągnąć jej pod jedno orzeczenie i określić, czem jest właściwie dzisiejsze małżeństwo. Dlatego też niepotrzebną jest i troska o jego przyszłość, o układ stosunków między mężczyzną a kobietą, który w sferach, dyskutujących jeszcze ciągle nad „kwestyą kobiecą,“ tyle sprawia trudności, wymykając się z pod każdego ujęcia w formułkę, mającą obowiązywać ogół, zawsze jakiemś zdradliwem zaczepieniem o nową możliwość. Na teraźniejszość składa się tak wiele obrazów, że przez zasłonę, zakrywającą przed naszem okiem przyszłość, ten tylko chcieć może ujrzeć jeden kształt, odpowiadający jego upodobaniom i pojęciom o złem i dobrem, kto teraz tej mnogości nie widzi, bo zapowiada ona, że i w tej dziedzinie życie rozstrzygnie sporną kwestyę, przyznając każdemu z walczących słuszność, pozwalając istnieć równocześnie obok siebie najrozmaitszym, w teoryi sprzecznym ze sobą kształtowaniom.

Helena Gumplowicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Radykalny syn.

Ludzie nie tyle są źli, ile w stosowaniu swej dobroci nieuważni. Jeżeli komuś wbiją kołek w oko, to nie dlatego, ażeby go chcieli oślepić, ale dlatego, iż wydało im się, że ono jest niepotrzebną dziurą, przez którą mu wycieka mózg z czaszki. Również gdy znajomi znoszą choremu okropne nowiny, to nie znaczy, ażeby oni mieli zamiar go niemi rozdrażnić, ale sądzą, że obrazami cudzych nieszczęść sprawią mu ulgę w cierpieniu i ucieche.

Zapewne taką samą myśl miał mój kolega, który mnie odwiedził niedawno. Rozeszliśmy się przed 30 kilku laty i nie spotkali ani razu; o czem tu mówić, zwłaszcza gdy się jest niezdrowym, a z gościem łączy tylko wspólność wspomnień jednoczesnego buntu przeciwko *Ablativum absolutum* i „liści naprzemianległych“?

— Dobrą miałeś drogę w życiu? — spytałem, przerywając kłopotliwe milczenie.

— Z początku bardzo ciężką—odrzekł— ale w końcu równą i bezpieczną. Nie mogę na los narzekać: wyrąbałem się z biedy prędko i mógłbym się nazwać zupełnie szczęśliwym, gdyby nie syn...

— Co, i twój wali w bramy więzienia, aby mu je coprędzej otworzono?

— A nie! Jest to chłopiec nawet bardzo uczciwy, czysty jak śnieg, który jeszcze nie opadł na ziemię, ale... radykał.

Uśmiechnąłem się.

— Wielka szkoda — rzekłem— że synowie nie są towarem zamiennym, bo mógłbyś za swego radykała dostać od innych ojców drabiniastą furę oszustów i zbójów.

— Nie zrozumiałeś mnie— przerwał pospiesznie.— On nie jest z tych, co to wszystko burzą — broń Boże; jest to chłopiec spokojny i poważny, tylko bestya strzałowy...

— Strzałowy?

— No tak, pędzi prosto i bezwzględnie, jak gdyby z armaty wystrzelony... Za logiczny, za niezłomny. W teoryi bohater, ale w praktyce — waryat. Bo jeśli życie czego nie cierpi i nigdy nie przebacza, to właśnie konsekwencyi i radykalizmu. Człowiek powinien tak przez nie płynąć, jak rzeka przez góry: o ile ma łożysko odsłonięte i proste — dobrze, jeżeli nie— okrąża przeszkody lub kryje się pod nie... I wtedy dopłynie do celu. Czy nieprawda, kolego?

— To więcej niż prawda, to nieomylny dogmat. Ale o co twojemu synowi głównie chodzi?

— Pozornie o drobiazg łatwo wykonalny: ażeby nikt nie wstydził się i nie bał swego przekonania. W rzeczywistości zaś jest to najwścieklejszy radykalizm. Ja nie każdy kawałek mego ciała pokazuję wszystkim ludziom; dlaczego mam im pokazywać każdy kawałek mej duszy? I po co? Dla samego oglądania nagości, chociażby nawet wstrętnej? Właściwą matką wszelkich przewrotów i katastrof społecznych jest szczerość, wada zła a bezwzględna. Wyobraź sobie kolego, co ten mój gagatek mi zrobił. Wybrano mnie raz rozjemcą zatargu między sąsiadami, z których jeden drugiego rzeczywiście skrzywdził! Spełniałem wielokrotnie taką rolę i zawsze trzymałem się tej samej zasady: im więcej kto ma racyi, tem mniej trzeba mu jej przyznać. Bo niewinnemu najostrzejsza nagana niewiele zaszkodzi, a winnego najłagodniejsza zgubi. Gdybym sądził zatarg między Sokratesem a Meletusem, orzekłbym: Sokrates powinien za swą otwartość wypić kielich rozpuszczonego w wodzie piernika, a Meletus za oskarżenie go otrzymać szlachectwo. Podobnie też rozstrzygnąłem sprawę między moimi sąsiadami; kazałem skrzywdzonemu przeprosić krzywdzącego. Tym sposobem pierwszemu zrobiłem małą przykrość, a drugiemu oszczędziłem wielkiego cierpienia. Gdy to wytłomaczyłem mojemu synowi, który ma zaledwie 20 lat, wiesz, co mi odpowiedział? Wątpię, ażeby włożywszy organiście czerwony płaszcz, można go było zrobić kardynałem. I tak uszczypnie w każdym wypadku. Zresztą nie jest on odosobnionym w swym radykalizmie. Na obecną młodzież padła zaraza rzetelności moralnej. Każdy czyn ma być logicznie wyprowadzonym wnioskiem, a życie — prawidłowo rozwiniętym systemem. Daremnie mojemu dudkowi tłomaczę, że gdybyśmy chcieli postępować ściśle według pewnych zasad, wywołalibyśmy taki zamęt w stosunkach, jak gdyby społeczeństwo dostało się pod ster obłąkanych. Czy bezwzględna sprawiedliwość nie jest drugiem imieniem rewolucyi?

— O, tak! Kolega rozumujesz bardzo słusznie, tylko niesłuszną jest twoja pretensya do młodzieży. Tak zwany radykalizm jest zwykle domaganiem się synów, ażeby ojcowie spłacili swoje długi. Każde starsze pokolenie wystawia młodszemu szereg bezterminowych weksli, które mają być pokryte za życia dłużników. W młodości dzieci otrzymują pewną ilość reguł, uważanych za niewzruszone, do których powinny naginać swoje życie — a gdy je naginają, widzą, że ich rodzice wyłamują się ciągle z pod tych przykazań. Ich uczyli: nie kradnij a kradną, nie zabijaj — a zabijają, nie mów fałszywego świadectwa — a kłamią, nie krzywdź — a krzywdzą. Czyli nie chcą wykupywać własnych weksli moralnych i śród swych wierzycieli wywołują radykalizm. Gdybyś kolega uczył był swego syna tej etyki, której używasz w praktyce, gdybyś był mu powtarzał: skoro człowiek dla tych samych nóg może, a nawet musi sprawiać sobie rozmaite buty, to również dla tych samych wypadków w życiu może, a nawet musi stosować rozmaite zasady. Czasem niepomia się wiesza, a czasem w tryumfie na Kapitol wprowadza — jak trzeba. Tymczasem kolega zachwalałeś mu ciągle kryniczną wodę, a teraz każesz mu pić pomyjki

— Przepraszam, to nie są wcale pomyjki, ale mądrość praktyczna, tak dobra, jak każda inna.

— Przypuśćmy, ale w takim razie nie należy jej obrzydzać głośno ludziom w dzieciństwie, a zachwalać pocichu w młodości. Zresztą powinieneś kolega i to uwzględnić, że syn twój w 20 roku życia nie może jeszcze rozumieć odmiennych znaczeń, które ty nadajesz wyrazom. Jemu się zdaje, że *uczciwość* jest to *uczciwość*, a skądże on może zgadnąć, że to czasem znaczy: *interes, wiarołomstwo, przedajność, rachuba, obłuda* itd.? Gdy on słyszy zdanie: „idźmy za Chrystusem,“ mniema, że trzeba oczyścić swoją duszę z wszelkiej złości, napełnić ją miłością i przebaczeniem, a wcale nie przypuszcza, że to niekiedy znaczy: zakładajmy sklepy chrześciańskie, bo one przynoszą niezawodny zysk, krzyczmy na szachrajstwa żydowskie, ażeby odwrócić uwagę od naszych, szczujmy ludzi wzajem na siebie, ażeby zagryzali się za różnice w barwie skóry, kroju ubrania, kształcie nosa itd. Jeżeli zaś syn twój powie, że to nie jest chrystyanizm, ale zwyczajne szubrawstwo, to ty go uznasz za radykała. I słusznie. Bo rzeczywiście jest on burzycielem ustroju i ładu życia, złoczyńcą, który na torze kolejowym odśrubowywa i wyjmuje szyny, ażeby przerwać bieg pociągów.

— Za ostro powiedziane...

— Bynajmniej. Czego właściwie syn twój chce? Wykoleić cię. Ponieważ jesteś doświadczonym i ostrożnym, więc dotąd uniknąłeś katastrofy, ale jeżeli uśpisz swoją czujność i zaufasz mu — rozbijesz się niezawodnie. Pomyśl tylko, co się stanie, gdy zaczniesz przyznawać ludziom tyle racyi, ile jej mają; gdy złodzieja nazwiesz złodziejem a nie zasadniczym przeciwnikiem własności lub — co gorsza— natniętnym wielbicielem Rossiniego; gdy wpływowej ladacznicy nie będziesz uważał w starości za „typ zacnej matrony, będącej wzorem dla naszych żon i matek“! Nastąpi mała rewolucya, która jest zawsze córką radykalizmu.

— Więc co mi radzisz? — spytał trochę oszołomiony mój kolega.

— Radzę ci zwrócić się do syna z następującą przestrogą: Mój chłopcze, ja jestem stary mebel, który służył do rozmaitych przeznaczeń, chociaż ciągle jednakowo się nazywał; nie chciałbym, ażeby cię to samo spotkało i ażebyś umierając, nie wiedział, kim byłeś. Dlatego wytrwaj w swoim dobrym zwyczaju: bądź radykałem, jakim chcesz: wierzącym lub niewierzącym, zachowawcą lub postępowcem, darwinistą lub papistą, wybierz sobie jakiekolwiek wagi i miary, abyś ich tylko rzetelnie zawsze i wszędzie używał. A nie bądź mydłkiem. Skutkiem ogromnej przewagi mydłków a niedostatku radykałów, mamy w naszem społeczeństwie tyle pojęć niejasnych, tyle zagadnień nierozstrzygniętych, tyle słów niedopowiedzianych, tyle myśli ułamkowych, tyle wreszcie niechęci, nienawiści i zakwaszeń w stosunkach. Tak oślepliśmy w kłamstwie, że najsłabszy promyczek prawdy wydaje nam się jaskrawą błyskawicą, tak skiśliśmy w jego zaduchu, że najmniejszy strumień świeżego powietrza przeziębia nas. O naszym radykalizmie przekonań nie warto mówić, dopóki nie możemy się zdobyć na radykalizm szczerości. Jesteśmy albo bezczelni łgarze, albo oślizgłe mydłki. Nie mamy nawet tyle odwagi, co wół, który nie zje wiązki drutu, chociażby mu ją pomalować na kolor trawy. My w potrzebie gotowi jesteśmy jeść i drut, zachwalając go jako doskonały makaron.

Mój kolega wziął kapelusz i pożegnał mię szybko. Prawdopodobnie poszedł gdzieś na porcyę pieczonego drutu.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Kronika historyczna.

II.

Maksymilian Baruch: *Pabianice, Rzgów i wsie okoliczne.* Monografia historyczna dawnych dóbr Kapituły krakowskiej w Sieradzkiem i Łęczyckiem. Z zapomogi Kasy pomocy im. dr. med Józefa Mianowskiego. Warszawa, Wende i S-ka, 1903, str. XII i 362, XIII tablic.

Monografie, czyli poszczególne opisy ludzi i miejsc, są najcenniejszym nabytkiem dziejopisarstwa. Jeżeli badania historyi rozumieć nie jako broń pomocniczą polityki współczesnej, ani też jako matematyczne równanie między przyczyną a skutkiem, lecz jako opis losów człowieka i miejsc przez niego zamieszkanych ku lepszemu zbadaniu i poznaniu człowieka i miejsca prowadzący — to ogólne traktaty historyi wszechświatowej i politycznej wiele na wartości utracą. W tych bowiem ostatnich czyni się cały szereg skróceń i uogólnień, wydziela się z życia ludzi pewną ilość faktów, czy zjawisk, które się mianuje *historycznymi* czyli godnymi pamięci; nad resztą stawia się uogólnienie w braku wystarczającej znajomości szczegółów, lub też wprost przechodzi się do porządku dziennego, jako nad rzeczą małoważną. Niema jednak w historyi człowieka rzeczy małoważnych, nadających się do lekceważącego pominięcia: wszystkie mówią o jego naturze i jego losach. Im więcej zatem wiadomości o owych faktach da się zgromadzić na jednym punkcie, tem dla historyi lepiej. Jasną jest rzeczą, iż to zadanie najprędzej da się przeprowadzić w ściśle i wyłącznie ujętych monografiach. Tam najłacniej zebrać pamiątki, tyczące się całokształtu życia. Miejsce można poznać z pewną gruntownością; do ludzi żyjących najbardziej się przybliżyć. Zbudowanie dzieła historycznego, jako odtworzenie życia w przeszłości, jest wówczas możliwszem.

Nie znaczy to naturalnie, ażeby pisanie monografii było łatwiejszem od wykonania innych, szerszych prac historycznych. Z wątpliwą słusznością monografia uważa się za dzieło lat młodzieńczych, pracę początkową. W rozwoju samego dziejopisarstwa nowoczesnego rzecz się ma wprost odwrotnie. Wyjąwszy naturalnie pamiętniki, których nie mamy tutaj na myśli, pisanie dziejów nowych rozpoczęło się od prac ogólnych, charakteru syntetycznego i powszechnego, aby dopiero w czasach ostattnich, w epoce względnego przynajmniej dojrzenia, jeśli nie samego dziejopisarstwa, to przynajmniej jego świadomości, dojść do monografii, do poważnego i gruntownego badania dziejów miejscowości, pojedynczych ludzi lub też poszczególnych ludzkich zgrupowań.

Nasza wiedza w tym kierunku znajduje się zaledwie w stadyum początkowem; z tem też większą i niekłamaną radością witać należy każdy przybytek. Z takiem zadowoleniem odkładamy książkę p. Barucha o Pabianicach, zadowoleni, że znajdujemy w niej jasne dowody tego, cośmy rzekli powyżej i jak ważnem, trudnem, skomplikowanem, poprostu wielkiem zadaniem jest wyczerpujące opracowanie monografii historycznej.

Włość pabianicka, tj. dzisiejsze, znaczne miasto fabryczne Pabianice z jego okolicą nad rzekami Nerem i Dobrzynką, sięgającą aż do dzisiejszego terytoryum Łodzi należy do tych miejscowości naszego kraju, których przeszłość najdalej śledzić możemy w perspektywie i pomroce dziejów. Nazwy poszczególnych miejsc (*Bugaj*, kędy składano ofiary bożyszczom; *babichy*, kędy stały bożki, baby; *modlica*, gdzie składano objaty), jakoteż wykopaliska (urny i łzawnice) świadczą, że istniała na tem miejscu osada w czasach pogańskich. Związek pomiędzy nią, a osadą późniejszą jest niewiadomy. U początku czasów historycznych tę miejscowość, że była w całości pokryta trzęsawiskami, moczarami śród nieprzebytych borów, nazywano bagnami, „chropami" (dziś chrapy). Chrapy przecież, między Sieradzem, a Łęczycą położone, wcześnie zwróciły na siebie uwagę książąt polskich, i w połowie XI w. (Długosz) zasiedlone zostały przypisanymi tu chłopami. Osada stanowiła samorządny i solidarnie odpowiedzialny przed księciem - właścicielem związek, organizacyę polową, t. zw. *opole*, podlegające zamkowi w Sieradzu, składające dziesięciny proboszczowi w Łęczycy. W r. 1086 (?) Judyta, córka Władysława księcia czeskiego, pierwsza żona Władysława Hermana, złożyła Chropy, jako ofiarę, na własność kapitule krakowskiej. Od końca więc XI w. aż do r. 1793 miejscowość ta prawie bez przerwy należała do możnej władzy kościelnej. Tylko jakiś czas, bliżej nieokreślony, wskutek prawdopodobnie nieporozumień księcia z kapitułą, włość „castellania" wróciła w posiadanie korony, aż w r. 1189 Bolesław Krzywousty z wyrazami pokory kapitule ją oddał, a rozporządzenia Kazimierza, księcia łęczycko-kujawskiego (1251) i Leszka Czarnego (1286) zwolniły ją od wszelkich powinności na rzecz księcia, a przeto i od wszelkiej zależności: stała się feudalną dziedziną księży.

Pierwotny rozmiar kasztelanii wynosił mniej, niż 5 mil kw. W XIII w. nazwą jej jest Piątkowisko (Pięciowieś, związek pięciu wsi, opole). Włość rozrastała się szybko. Przybyli tu i osiedli, sądząc, za Wojciechowskim, z przymiotnikowych nazw wsi, władyki — rycerze. Dawną organizacyę opola zamieniono w części na wójtowską organizacyę wedle prawa niemieckiego. W r. 1297 otrzymała kapituła przywilej na założenie miasta i wówczas to stały się miastem Pabianice — nazwane czy od „pobawiania" — bawienia się na łowach, czy od „pobijania" na łowach, jak chcą tradycye miejscowe, czyli też, jak twierdzi autor, od imienia Pabiana, bardzo zresztą rzadkiego i jako imię polskie wątpliwego. Do XV w. włącznie kasztelania wzrastała nazewnątrz, kolonizowała zatem poblizką puszczę, aż dosięgła wielkości 10 mil. kw. (Długosz). Powstały nowe miasta: w r. 1767 Rzgów, w w. XVI — na krótko zresztą — Brus.

Nastąpiła epoka wewnętrznej systematycznej organizacyi i gospodarki intensywnej. Na czele włości stał tenutaryusz tj. dzierżawca, zazwyczaj kanonik i jego pomocnik i zastępca, podstarości. Czynsz dzierżawny, wynoszący w XV w. około 7,000 złp., wynosił w połowie XVII wieku 38,000 złp. Znaczniejsza część dóbr należała do „wspólnej masy", reszta do pojedynczych kanoników. W r. 1461 ustanowiono peryodyczne, przeważnie co lat trzy odbywane lustracye włości przez kanoników kapituły. Lustratorzy mieli bardzo rozległą władzę kontroli i stanowienia o ważnych, wewnętrznych sprawach włości; zaś, jak poważne osoby wybierała kapituła dla spełnienia tych czynności, dowodem powołania w 1466 r. na lustratora Jana Długosza, któremu historya właściwie zawdzięcza najwcześniejsze ze swoich danych. Wsią, na prawie niemieckiem lokowaną, zarządzał wójt z ławnikami; w mieście, oprócz wójtów, na czele urzędu stali burmistrze z radą, ze 4 radnych złożoną, burmistrza i wójta mianował tenutaryusz z listy czterech, przez ludność wskazanych. Wszystkie te władze miały jednolity charakter, połączone w nich były niepodzielnie atrybucye administracyjne, organizacyjno-ekonomiczne, sądowe, w czem naturalnie najwyższą instancyę stanowił dwór, tj. tenutaryusz, ewentualnie lustrator, rozstrzygający skargi i podania. W miarę czasu rosła władza dworu, w szczególności gdy tenże od XV w. z wielką energią począł wykupywać grunta wójtowskie, niszczono bowiem tym sposobem najstarszą, samorządną instytucyę, owych „zasadźców", przybywających, jako pionierzy nowych osad i otrzymujących za to tak łany ziemi, jak władzę rozporządzania pozyskanymi dla osady ludźmi. *)

Rozwój Pabianic, jako włości naturalnie przedewszystkiem i przeważnie rolniczej, uwydatnia się najlepiej przy badaniu położenia włościan. Poznanie stosunków w danym wypadku ma dla nas wielką wagę, bowiem spotykamy się tutaj niezaprzeczenie z materyałem autentycznym, skargami, suplikami, sprawozdaniami kontrolowanemi, po drugie zaś stan włościan był tu na pewno lepszy, niżli gdzieindziej, powszechnie bowiem od XVII w. panująca, najgorsza samowola szlachecka i pańska tutaj ograniczoną była, przyznać należy, kontrolą stałą, rzeczywistą i, o ile możliwe, sprawiedliwą.

Osłonione niepewnością tak chronologiczną, jak i prawną przytwierdzenie włościanina do roli, przypada tu, jak i gdzieindziej na wiek XVI; juz w r. 1460 istnieje umowa wzajemnego ubezpieczenia przy opuszczaniu osady przez poddanych. W r. 1593 orzeczono w zasadzie, „iż nie jest w mocy poddanych, aby mieli sobie role przedawać albo zastawiać." Rola pierwotnie była własnością księcia. Daniny, z niej spłacane, były to naturalne warunki kolonizacyi, lub opłaty, podobnie do naszych podatków, przeznaczone na utrzymanie państwa; „stan" — obowiązek wyżywienia przejeżdżającego księcia i dworu; „przewód" — przewożenie transportów książęcych, „nastawa," „stróża," a z drugiej strony stałe daniny w naturze; od tych w r. 1251, od tamtych w 1286 zwolnieni mieszkańcy przeszli do wyłącznych powinności dworskich.

(D. n.)

*) „Dawny wójt bądź utonął wśród ludu poddańczego, przedzierzgnąwszy się w rolnika pańszczyznianego, lub też oddał dziedzictwo szlachcicowi, co siedząc na łanach wójtowskich, zerwał jednak nić łączącą jego poprzedników z całym ludem kmiecym" (str. 100). „Od XVII w. kilka wójtostw w obrębie dóbr przeszło w ręce rodzin szlacheckich i za konsensem kapituły pozostawały i nadal w posiadaniu szlachty" (str. 88). Urzędy podstarościego i leśniczego sprawowali zawsze szlachcice (str. 53).

LITERATURA I SZTUKA.

Juliusz Słowacki.

—

(Z powodu książki prof. Tretiaka *).

Od początku swojej płodnej i zasłużonej działalności naukowej poświęcił prof. Tretiak znaczną część pracy dokładnemu zbadaniu życia i twórczości Mickiewicza: czy to pisząc obszernie o „Młodości Mickiewicza," czy o pobycie jego w Odesie, czy roztrząsając stosunek jego do Szewczenki i Puszkina, czy nakoniec kreśląc w pięknych szkicach cześć naszego poety dla Matki Boskiej, lub dając analizę utworów całych oraz poszczególnych kreacyi mickiewiczowskich. Że to długoletnie wnikanie w istotę duchową poety wzbudziło w prof. Tretiaku ogromny podziw dla życia i poezyi Mickiewicza, a zarazem bezgraniczne przywiązanie i uwielbienie, — rzecz zupełnie jasna i naturalna. Równocześnie zajmował się też inną gwiazdą poezyi naszej — tym, oto Słowackim, który według błędnych mniemań toczył bój o współzawodnictwo z twórcą „Pana Tadeusza." Będąc zaś bez żadnych zastrzeżeń wielbicielem ostatniego, przejął się do tego stopnia niechęcią, jaką żywił Mickiewicz dla autora „Balladyny," że postanowił za wszelką cenę wykazać marność Słowackiego, jako człowieka i jako poety, wychodząc z założenia, że antagonizm, jaki trwał między obu poetami „do tego stopnia przenika całą istność duchową Słowackiego, iż bez podania pełnej historyi ducha poety nie da się przedstawić należycie." Do tego zasadniczo błędnego założenia przyłączyło się także drugie, nie mniej nieuzasadnione, że historyę ducha Słowackiego stanowią te tylko utwory, w których przebija się silnie pierwiastek indywidualny.

Znana teorya współczucia w badaniu naukowem, historyczno-literackiem nakazuje wyraźnie, że autor powinien zawsze stanąć na stanowisku opracowywanego przez się poety i tak dopiero wydawać o nim sądy. Ponieważ zaś prof. Tretiak nie uwzględnił tego kardynalnego warunku, stąd też naraził się na jaskrawą stronniczość sądu, widoczną z każdej strony tego obszernego dzieła. Słowacki okazał się w jego przedstawieniu, jako indywiduum moralnie liche, jako skończony egoista (str. 12), człowiek, w którym „patryotyzmu nie było" (str. 59), ani też „żadnych zasad społecznych" (str. 217), jako poeta zaś czerpał idee od innych, ale „w zamian dać własnych nie był zdolny" (str. 269), „nie był zdolny stworzyć całości takiej, o którejby rzec można, że ta pieśń nie przeminie" (str. 154), bo poezya jego „płynęła tylko z głowy" i była „wykwitem chorobliwego indywidualizmu poety, ideą samoubóstwienia" (str. 141), że wobec tego Słowa-

*) Juliusz Słowacki, historya ducha poety i jej odbicie w poezyi. Część I, II, 1809—1842, Kraków, 1903, nakł. Akademii Umiejętności. 8-ka wielka; kk. nlb. 2, str. 291.

cki najsłuszniej w świecie *zarobił sobie na lekceważenie* (str. 53). Wobec takiego sądu — każdy przyzna, że zdanie Mickiewicza o poezyi Słowackiego, iż jest ona kościołem, w którym niema Boga, jest jeszcze bardzo pochlebne i zaszczytne. Bo z książki prof. Tretiaka okazuje się, że ten „Król Duch“ miał nie szatę królewską, lecz postrzępione łachmany, nie serce a tylko rozum (i to wcale skromny!), nie myśl lub idee, tylko prosty dźwięk słów wypowiadanych świadomie z fałszem, a *jako człowiek był kompletnem zerem moralnem.*

Niepodobna zatem wyroku takiego pozostawić bez dokładnej rewizyi, bodaj dlatego, aby nie przypomniały się pamiętne słowa Juliusza, wypowiedziane w ocenie „Nocy letniej“ Krasińskiego:

Cieszmy się, bo zapewne o tego Juliusza nikt dbać nie będzie[1].

* * *

Z wielką słusznością rozpoczął prof. Tretiak swoją pracę od badania tych wszystkich cech umysłu i usposobienia, jakie Słowacki odziedziczył po swoich rodzicach. Że wziął po matce wrażliwość, poetyckie na świat spojrzenie oraz skłonność do marzycielstwa — to nie ulega wątpliwości. Ale bynajmniej nie wziął z niej kochliwości (której się prof. T. w niej dopatruje), ani też czułości, którąby zwracał wyłącznie ku sobie samemu. Wziął z niej za to co innego, co jest stokroć ważniejszem, — tężyznę charakteru, rozumu i serca, czem wszystkiem odznaczała się pani Salomea. Serce jego nie było „kawałkiem szkła błyszczącego,“ nie było zakochanem tylko w własnej chwale. A jeśli kiedy gryzło przeciwników i niechętnych, to nie z egoizmu, a tylko aby się stało zadość sprawiedliwości, aby wywalczyć dla siebie to, co mu się słusznie należało. Jak więc mógł poeta być towarzyskim? jak mógł utrzymywać stosunki z ludźmi? jeśli oni zaprzeczali mu wszystkiego, jeśli nie chcieli mu przyznać ani iskry talentu, jeśli dalej byli tyle niżsi od niego swym poziomem umysłowym? Wszak sam poeta powiedział: „duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie“ (Meyet L. Listy do matki, II. 323). I z kimże to mógł w latach zarannej młodości zlewać się duch poety? Czy może z pseudoklasykami naszymi? czy z inteligencyą prowincyonalną? czy z tymi wszystkimi, co byli „bez serc, bez ducha“? Co mogło go złączyć ze starymi profesorami uniwersytetu, przesiąkłymi nawskroś duchem „wieku oświecenia,“ lub też z gawiedzią domorosłych pisarków, których aspiracye umysłowe leżały o całe niebo niżej, którzy byli krwią z krwi, kością z kości zromantyzowanego nieco klasycyzmu, podczas gdy on wyprzedzał ich niemal o wiek cały konstytucyą umysłową? Że Słowacki „nie zaznał przez życie całe prawdziwej przyjaźni“ (str. 7), nie pochodziło z egoizmu, nie miało początku w tem, że — jak utrzymuje prof. Tretiak — Słowacki kochał przyjaciół „za to, iż wielbili jego talent, uznawali jego potęgę duchową.“ Bo on nie poprzestawał na parafiańskiej znajomości, a pragnął czegoś więcej, pragnął takiego umysłu, któryby był równy jego umysłowi. Tem właśnie tłomaczy się gorąca jego przyjaźń z Ludwikiem Spitznaglem, z którym miał tyle wspólnych pragnień i marzeń, tem miłość poety dla matki, którą tak serdecznie umiłował, jak później nikogo umiłować nie był zdolen. I ta miłość tłomaczy się tylko silną spójnią duchową — dla każdego, kto zna, chociażby pobieżnie, stosunek Juliusza do matki.

A że Słowacki umiłował ponad wszystko naturę, to nie było wypływem „jego chorobliwie wygórowanego indywidualizmu, który nie mógł znaleźć klucza do serc ludzkich“ (str. 10), tylko tego, że poeta mógł naturę przerabiać indywidualnie, ludzi zaś marnych tak przerabiać nie mógł. Wszakżeż i on ludzi pojmował, jako przyrodę. Któż więc potrafi zachwycać się przyrodą nędzną, lichą trawką, pasożytem? Chyba im równy tylko?!

Jak wiemy z listów — mały Julek zabawiał się w latach dziecinnych rozmaicie: bawił się w księdza, chciał naśladować potem bohaterów Homera, brał się do malarstwa. Z tego zatem, co jest objawem zupełnie naturalnym u dzieci, które bawią się rozmaicie i roją sobie, że będą: biskupami, generałami itp., ukuł prof. Tretiak sążnisty pocisk przeciwko Słowackiemu: że jedynym celem jego, jako dziecięcia, było dążenie do sławy. Przedewszystkiem — rojeń dziecięcych nie można brać na seryo. A gdybyśmy je nawet tak wziąć chcieli koniecznie, to pozwolę sobie postawić pytanie, co lepsze: czy jeśli dziecko pragnie być sławnem, czy tak sobie, całkiem przeciętnym osobnikiem? Chyba nie może być dwu zdań, że lepsze jest to, które dąży do sławy. Wszak aby dojść do celu, musi spełnić czyny wielkie, z których będzie mieć korzyść społeczeństwo i kraj cały! Takie jednak dążenie zasługuje na potępienie według prof. Tretiaka. Czy słusznie?

Zbrodnią też jest według prof. Tretiaka, że nie wiemy nic o tem, czy Słowacki brał jaki udział w ruchu filareckim, czy nie? Zapewne nie, rozumuje szan. autor, bo poeta ani słowem się nie odezwał o tym fakcie, bo dalej pozwolił, ażeby ojcem jego chrzestnym był Pelikan, prawa ręka Nowosilcowa. Dowód przeciwko Słowackiemu napozór niezbity i logiczny. Ale gdy się zastanowimy, że brak nam właśnie tych kart z „Pamiętnika“ poety, które dotyczą lat filareckich, jeśli się zważy, że Pelikan był przyjacielem ojca Słowackiego, jeśli się wreszcie uwzględni i tę okoliczność, że w tym czasie nikt nie uważał Pelikana za nieczną osobę, skoro fakt ten stał się znanym dopiero niemal w 10 lat później, każdy snadnie ujrzy, ile wart dowód prof. Tretiaka, jak mało w nim ścisłości i konsekwencyi.

A kiedy Słowacki zaczął tworzyć — powiada prof. Tretiak — „uwaga jego zwrócić się musiała naprzód na Mickiewicza; jego namiętna żądza sławy miała wytknięty, najbliższy cel przed sobą: ażeby się stać najsławniejszym na całym świecie poetą, trzeba było naprzód prześcignąć tego, który się stawał najsławniejszym z młodych poetów w Polsce“ (str. 19). I jakie na to daje nam autor dowody? Oto, że: „Duma Ukraińska“ została napisana w celu prześcignięcia młodych poetów ukraińskich, bo Słowacki nie czuł się jeszcze na siłach zmierzyć się z Mickiewiczem (dowód wyssany z palca). Bo dalej poematy: „Hugo,“ „Mnich,“ „Jan Bielecki,“ „Arab“ i „Żmija“ z powodu swego byronizmu ośmieliły tem więcej Słowackiego do zmierzenia się z „Konradem Wallenrodem“ (str. 22). I gdzie na to dowód? Może w wspólnym u Mickiewicza i u Słowackiego byronizmie? Chyba tak, bo innego związku pomiędzy „Wallenrodem“ a poematami Słowackiego nie ma! Otóż takie przypuszczenie nie stanowi żadnego dowodu naukowego. Byronizm bowiem pochodzi z pokrewieństwa natury Byrona i Słowackiego. Wszak historya naturalna uczy, że jeśli do roztworu soli wrzucimy kryształ, sól roztworzona w wodzie pocznie się krystalizować. A czyż tu w byronizmie Słowackiego zachodzi inny wypadek?

Tymczasem wybuchło powstanie listopadowe. Słowacki — „geszefciarz“, węszący wszędzie tylko interes, zaczyna pisać pieśni rewolucyjne, bo z ich pomocą „odkrywała się sposobność pozyskania wśród rozgorączkowanych tłumów wielkiego rozgłosu i niejako zastąpienia Mickiewicza, który był daleko i nie mógł pieśnią swoją przewodniczyć“ (st. 25—26). A że te poezye — powiada dalej prof. Tretiak — nie wywołały żadnego wrażenia, poeta łamie pióro i ucieka za granicę. Ciężki to zarzut. Czy może czemś poparty? Nie! bo że taki był cel pisania utworów rewolucyjnych, nie daje prof. T. innego dowodu. Tak samo ma się rzecz z wyjazdem z kraju. Dlaczegóż więc Słowacki wyjechał? Czy może z powodu broszury Lelewela, jak twierdzi prof. Małecki? I to nie! W razie braku jasnych dowodów najlepiej — mojem zdaniem — przyjąć tłomaczenie najprostsze, które w tym wypadku — sądzę — trafi każdemu do przekonania. Wiadomo, że Słowacki odziedziczył po obojgu rodzicach niedomaganie nerwowe. Wiadomo dalej, czego może dopuścić się człowiek chory. Oto tedy poeta, czując się zbyt słabym do walki orężnej, opuszcza kraj, jak sam powiedział w „Beniowskim“:

Odbiegłem ciebie w *szaleństwa* godzinie.

Powód przytoczony przez prof. Tretiaka na obronę Mickiewicza, który — zdaniem jego — nie wziął udziału w powstaniu, gdyż bawił zdala od kraju, jest równie naciągany. Wszak Mickiewicz jeszcze podczas powstania flirtował sobie w Poznańskiem!. Czemuż więc nie wrócił? I tutaj muszę zauważyć, iż tam, gdzie najprostsze tłomaczenie danego faktu prowadzi do celu z korzyścią dla Słowackiego, prof. Tretiak, jakby nie spostrzegając go, stawia o wiele ryzykowniejsze przypuszczenia, byle przynieść hańbę poecie.

Wiedząc, jak wiele wymagał Słowacki od ludzi, którzy z nim żyć i obcować chcieli, niepodobna nie zrozumieć powodu osamotnienia, w jakiem poeta przebywał za przyjazdem do stolicy nadsekwańskiej. To też wcale nie brak towarzyskości — jak mniema prof. Tretiak — był tego przyczyną. Trudno wymagać od poety, aby żył i przyjaźnił się z „zebraniem głupców,“ jak sam o tem mówi w jednym z listów (t. I, str. 115), z którem nie łączyło go nic a nic. Wprawdzie prof. Tretiak cytuje w swojej książce te słowa poety, ale nie zwraca na nie najmniejszej uwagi, nie wyciąga z nich racyonalnego wniosku, bo wniosek taki byłby bardzo nie na rękę. Wszak Słowacki żył przez jakiś czas z osławionym Skibickim, „który potem jako oszust został wsadzony do więzienia“ (str. 28). „Otóż — powiada prof. Tretiak — czem był Żan dla Mickiewicza w pewnym okresie jego życia (on był i duszy jego kierownikiem — on był i serca jego spowiednikiem)“, tem był dla Słowackiego Skibicki (str. 33). I czy może daje na to jaki oczywisty dowód? Nie, bo dowodu takiego niema; dość było krótkotrwałej znajomości, aby Skibickiego, blagiera i oszusta, zamienić w przyjaciela, tego Skibickiego, o którego wartości moralnej nikt wówczas nie wiedział, który bywał w dodatku częstym gościem pierwszych domów emigracyjnych, np. u książąt Czartoryskich: O nic tu nie chodzi, jak tylko o to, ażeby rzucić nieprzychylne światło na poetę, ażeby z kilku słów dobrych, jakie Skibicki wypowiedział o poezyach Słowackiego, wyprowadzić wniosek, że Słowacki żył tylko z tymi, którzy mieli dla jego talentu uznanie, a więc dogadzali jego egoistycznym pożądaniom i pragnieniom.

(C. d. n.).

Dr. St. Zdziarski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Tadeusz Rittner: *Maszyna*, dramat w 4 aktach (nagrodzony pierwszą nagrodą na konkursie łódzkim im. H. Sienkiewicza). — Józef Benedykt Hertz: *Dr. Zygmunt Łomski*, sztuka sceniczna w 3 aktach, nagrodzona na konkursie Miłośników sceny.

Ci z pośród bywalców teatralnych, dla których pierwsza nagroda konkursowa ma dotąd w sobie pewną moc przyciągającą, doznali na „Maszynie“ p.

Rittnera przykrego rozczarowania i zawodu. Sztuka jest słaba i, mimo paru scen w akcie pierwszym i trzecim, zdradzających pewne przebłyski talentu, nie wytrzymuje nawet tej skromnej skali wymagań, jaką przywykliśmy mierzyć obecny repertuar teatru Rozmaitości. Nie wymagamy od konkursów arcydzieł, bo te na zawołanie rodzić się nie mogą; usprawiedliwionem jednak wydać się musi żądanie, by nagroda *pierwsza* dostawała się *najlepszemu* z dzieł, nadesłanych na dany turniej literacki czy artystyczny. Orzeczenia zbiorowe naszych areopagów krytycznych zdobyły już sobie przysłowiowy niemal rozgłos nietrafności, a łódzki konkurs imienia H. Sienkiewicza, ubogi naogół w poważniejszy plon artystyczny, nie stanowi pod tym względem wyjątku: w liczbie sztuk wyróżnionych są stanowczo lepsze od tej, którą uwieńczono wawrzynem i nagrodzono najwyższą sumą brzęczącego równoważnika staro-greckich laurów i sośniny. Znowu więc ujawniła się wymownie znana figlarność naszej psychologii zbiorowej, nie przypuszczamy bowiem, by jakiekolwiek inne względy mogły tu rolę odgrywać.

Autor „Maszyny" nie uświadomił sobie jednego, że bez starcia, bez walki silnych charakterów lub uczuć, bez dążenia do celów określonych, bez zrywania się potężnego do urojonych choćby ideałów, bez szumu, słowem, orlich skrzydeł, bez żywiołowej miłości lub nienawiści — nie było i nie będzie dramatu. Ibsen przez usta swego Branda rzuca słowa pobłażliwej wzgardy dla ludzi, którzy przestają *chcieć* tam, gdzie się kończy ich możność. „Bohater" sztuki p. Rittnera nie próbuje chcieć nawet tam, gdzie do granic niemożności jeszcze niezmiernie daleko. Więc też zamiast zamierzonej tragedyi twórcy, którego talent druzgocą i miażdżą tryby ohydnej maszyny biurokratycznej, w całym utworze mamy tylko płaczliwe tyrady karykaturalnego niedołęgi życiowego, którego zabija nie otoczenie wrogie, nie los twardy, nie twórcza niemoc nawet po jednorazowym fajerwerku natchnienia, lecz — wszechwładne „widzi mi się" autorskie, od którego niema apelacyi. „Czemkolwiek jesteście — powiedział gdzieindziej wspomniany przed chwilą pisarz skandynawski — bądźcie tem całkowicie, nie przez pół." Autor nagrodzonego również na jakimś konkursie „Prometeusza" ze sztuki p. Rittnera nie ma, jak się zdaje, kwalifikacyj ani na urzędnika, ani na poetę, a pragnie być jednym i drugim. Jest on wogóle postacią papierową, pozbawionem logiki i duszy urojeniem literackiem, niczem więcej. Niepodobna inaczej wytłomaczyć choćby tylko jego powrotu do nienawidzonego rzekomo biura, gdy śmierć matki uwolniła go od pozorów wszelkich, które go w niem zatrzymywały. Prawda zresztą — w akcie ostatnim potrzebna była autorowi melodramatyczno-szpitalna, długa i męcząca scena obłąkania na balu, zakończona rozpaczliwym skokiem przez okno, ale takie ćwiczenia akrobatyczne, niewypływające zresztą bynajmniej z psychologii postaci, która im się oddaje, mają równie mało wspólnego ze sztuką prawdziwą, jak i łkania, konwulsye i inne przesadne objawy rozpaczy po śmierci matki, zajmujące znaczną część aktu trzeciego.

Wspomniałem o zaletach pewnych. Stanowią je niektóre sceny aktu pierwszego, malujące nieźle galicyjskie środowisko urzędnicze, choć takie fotografowanie rzeczywistości nie wymaga jeszcze szczególnych zdolności twórczych. Te ujawniły się tylko w ładnej istotnie scenie aktu trzeciego między Zawrockim (główna postać sztuki) i dawną towarzyszką jego zabaw dziecinnych, obecnie młodą i piękną żoną zwierzchnika, którą autor nazywa poprostu prezydentową. Mniejsza o to, że Aleksander jest mazgajem i niedołęgą, że nic w życiu zrobić nie potrafi. Ona go kocha i w talent jego wierzy, więc w ciężkiej chwili życia — aby mu dodać sił i energii aby go podnieść z upadku, aby twórczość jego rozbudzić nanowo — nie waha się pierwsza wyznać mu swojej miłości i ofiarować wszystko, co dać mogła. Że zaś czyni to z prostotą i uczuciem, z wiarą szczerą w skuteczność ofiary, więc ta jedna scena w całej sztuce pozostawia naprawdę wrażenie, odmienne od niesmaku i znużenia, doznawanych przeważnie na tym uwieńczonym dramacie.

Wdzięczną rolę prezydentowej odegrała bardzo dobrze p. Irena Trapszo, w scenie głównej zwłaszcza wykazując przytem dużo intuicyi kobiecej i artystycznej. Partner jej, p. Śliwicki, miał pracę nielada z opanowaniem pamięciowem olbrzymiej roli Zawrockiego, i szczerze mu z tego względu współczuć można. Lecz wysiłki artysty wlania życia w kształt bezduszny były -- nie z jego winy — daremne. W rolach epizodycznych, od których aż się roi w tym utworze, wyróżnili się w sposób dodatni pp. Ladnowski, Wolski, Rapacki, Hryniewicz, Wostrowski, Roland i inni, jako poszczególne tryby wielkiej maszyny biurowej, oraz panie Niewiarowska i Barszczewska w rolach matki i siostry Zawrockiego. Wogóle zresztą grano sztukę dobrze, lecz bez większości występujących postaci mogłoby się w niej obejść doskonale, bo to przeważnie szablony wytarte i zużyte, a niektóre z nich (taki doktór np.) kręcą się doprawdy po scenie — niewiadomo po jakie trzy grosze.

Słówko należy się jeszcze dawnym „miłośnikom sceny," zorganizowanym teraz, pod kierunkiem Bolesława Ladnowskiego, jako osobna sekcya teatralna Warsz. Tow. Artystycznego. W teatrze przy ulicy Karowej odegrali oni niedawno trzy nowe, jednoaktowe sztuki młodych autorów („Inteligent" B. Gorczyńskiego, „Mat" Renarda, „A teraz co?" Jana Adolfa Hertza), oraz pełnego humoru „Fatalistę" T. Jaroszynskiego. Obecnie powodzeniem dużem cieszy się w tym teatrze trzyaktowy dramat p. Józefa Benedykta Hertza p. t. „Dr. Zygmunt Lomski," nagrodzony na konkursie „Miłośników sceny." Sztuka, której autor znany był dotąd przeważnie, jako zdolny bajkopisarz-satyryk, wywiera, co prawda, wrażenie szkicu dramatycznego raczej, nie zaś wykończonego w szczegółach wszystkich dzieła, lecz odwieczny temat walki jednostki z otoczeniem, tym razem na tle stosunków fabrycznych, został w niej ujęty z pewną siłą, pozwalającą dobrze rokować o przyszłości młodego pisarza. Są w tej sztuce nierówności i niedomówienia, w bohaterze głównym zauważyć można wpływ doktora Judyma z „Ludzi bezdomnych" Żeromskiego, czuć tu jednak walkę i życie, jest ruch, jest ukochanie czegoś, jest myśl, a to już na początek niemało. „Ofiarność i umiłowanie Idei" — oto hasła, pod którcmi młody autor wstępuje na niwę poezyi dramatycznej. Radzibyśmy szczerze zachęcić go słowami: „Pod tym znakiem zwyciężysz."

Młoda „sekcya teatralna" ma kilka wybitnych talentów odtwórczych, więc też „Dr. Zygmunt Lomski" p. Hertza odegrany został zupełnie poprawnie, a w niektórych rolach doskonale. Na wyróżnienie zasługuje p. Krzyżanowski w roli tytułowej, p. Hirszband, jako dyrektor fabryki, p. Dobrzycka w roli matki doktora, a zwłaszcza p. Pytlińska, jako jego narzeczona i zarazem nauczycielka-siłaczka, oraz p. Łącki, doskonały robotnik-intrygant, niedopuszczający przez zemstę nieuzasadnioną do wyboru szlachetnego doktora Zygmunta na lekarza fabrycznego. Na uznanie zasługują również sceny zbiorowe, wyreżyserowane wybornie przez p. Ladnowskiego. Życzyćby należało, aby dawni „miłośnicy sceny" w swej ewolucyi dalszej utworzyli tak pożądany obecnie stały teatr prywatny o poważnym repertuarze dramatycznym swoim i obcym, który przy odpowiednim kierunku literackim mógłby liczyć w Warszawie na powodzenie duże.

Wł. Bukowiński.

NOWE KSIĄŻKI.

— **Materyały**, zeszyt III, 1903 r. Wydawnictwo Tow. „Polska Sztuka Stosowana" w Krakowie.

Przed kilku miesiącami, zdając sprawę z *Materyałów* krakowskiego Tow. „Polska Sztuka Stosowana," omówiłem obszernie znaczenie i wartość ich, dlatego też na ten raz ograniczę się jedynie do wzmianki o zeszycie III-im, stanowiącym część drugą premium za r. 1903 dla członków towarzystwa.

Niestrudzona w swych poszukiwaniach szczątków zaginionego budownictwa drewnianego w Polsce, pani Bronisł. Kondratowiczowa, odnalazła znowu dwa ciekawe fragmenty stylu „zakopiańskiego" w pow. Będzińskim, g. Piotrkowskiej. Są to: wejście do sieni (z drzwiami z galeryjką, bramą z „psami" i „kołkowaniem") we wsi Wojtkowice Kościelne i słup podsieniowy z osady Modrzejów. Mówiąc nawiasem, drzwi i brama z Wojtkowic są rażąco podobne do drzwi i bramy, znajdujących się w domu starożytnym w Bytomiu na Śląsku („Opis ziem zamieszkanych przez Polaków," Warszawa, 1904, z. 30, str. 478), przez co jeszcze raz świadczą o powszechności tego stylu dawnego w budownictwie polskiem.

Fotografie: pani Kondratowiczowej— ganku ze wsi Waksmund na Podhalu i Zofii Stankiewiczówny — karczmy we wsi Sołomo na Podolu oraz trzy rysunki Józefa Czajkowskiego — dworków w Dębnikach pod Krakowem i w Krakowie przy ulicach: Biskupiej, Bernardyńskiej i „Nad Wisłą," są już nielicznemi pozostałościami typu budowli podmiejskich, ginących w naszych oczach.

W tymże zeszycie znajdujemy jeszcze skrzynię malowaną ok. r. 1815, a będącą własnością Stopki u „Czajków" w Kościeliskach pod Zakopanem: 4 wycinanki z papieru kolorowego, wyobrażające ptaki, pochodzące z Grotowic (pow. Rawski, gub. Piotrkowskiej) i Ks. Łowickiego; prześliczny pas złotolity, czterostronny z fabryki krakowskiej Franciszka Masłowskiego (istniejącej między r. 1787 a 1830) ze zbiorów hr. Andrzeja Potockiego i wreszcie 2 tablice z 30 okazami zdobnictwa sprzętu drewnianego, *żmujdzkiego* ze zbiorów M. Brensztejna w Telszach. Przedmioty żmujdzkie, po raz pierwszy reprodukowane, w przeważnej liczbie noszą na sobie ornament stylu zakopiańskiego: gwiazda, „ząbce," „gadzik" itp. wykonany wypukło i przezroczo. Wszakże przyjrzawszy się, dostrzeżemy tu dwa typy ornamentu, mianowicie geometryczny (zakopiańszczyzna) i roślinny. Przedmioty tu przedstawione są: zakończenia kądzieli, do których przymocowuje się len lub wełna, nazywające się po żmujdzku „priwarbstie" lub prosto „lentele" deseczka), szpile drewniane, rzeźbione bogato, któremi przypina się len do kądzieli, zwane „szwajkis," kijanki, zwane też na Litwie z polska pralnikami, a po żmujdzku „kułtuwies" i wreszcie mała pałeczka.

M. Brensztejn.

— Vicomte de Colleville et Fr. de Zepelin: **Le maitre du drame moderne Ibsen,** L'homme et l'oeuvre. Paris. Nilsson.

Niezbyt głębokie studyum o Ibsenie. Daje pewne pojęcie o twórczości wielkiego dramaturga, choć samodzielnego poglądu autorzy nie mają, lekko przesuwając się po tak bogatem tle myślowych jego utworów. Książka ta, napisana popularnie, może pomódz, nieznającym języka niemieckiego, do oryentowania się w całokształcie dramatów Ibsena. Niezbyt trafnym (jak prawie wszystkie podziały) jest po-

dział utworów z okresu dojrzałości na realistyczne i symboliczne. Do pierwszych zaliczone są: Związek młodzieży, Podpory społeczeństwa, Nora i Upiory; do drugich: Dzika kaczka, Wróg ludu, Budowniczy Solness, Rosmersholm, Oblubienica morza i Hedda Gabler. Dość udatnie pochwycona jest przyczyna niepopularności Ibsena we Francyi. Zacytowane są słowa Edm. Picarda („Renouveau au théâtre“): „Teatr francuski obecnie nie znajduje się w okresie rozkwitu. Od dawien dawna obraca się w kole tematów już wyczerpanych. Publiczność bardzo cierpliwa, mało estetyczna, burżuazyjna i zadawalająca się byle czem, wymaga tylko, aby teatr dostarczał rozrywki, więc scena podlega zastarzałej manierze.“

POEZYE

Próżno serce się miota! Próżno w swym kryształe
Załamie w jeden ogień wszystkie sny i żale
I ciśnie snop jarzących pragnień, marzeń, wiary
Na serca twego granit zimny—ślepy—szary—

Może zachwiałabyś się, pokorna i blada,
Gdybym porwał twe zmysły huraganem woli,
Jak wiatr wiosenny bierze wiotką pierś topoli—
Ale ramię mej duszy bezwładnie opada.

Może tak czyje serce o mnie się roztrąca,
Od mego o ton cały czulsze i bogatsze,
A na które ja sercem obojętnem patrzę.

Może miota je rozpacz i duma milcząca —
Serce, coby mi niebo dało w ziemskim szale,
Gdybyśmy w piersiach mieli równe tonów skale.

Mamert Wikszemski.

NA MARGINESIE.

Mormoni w Stanach Zjednoczonych półn. doznają utrudnień od prawa w zachowaniu jednej z najbardziej zasadniczych swoich wolności—wielożeństwa. Obecnie przez senat waszyngtoński ustanowiona komisya w celu zbadania spraw kościelnych stanu Utah, gdzie mormoni przebywają bardzo licznie, wykryła wprost zdumiewające rzeczy.

Jak dotąd złożył zeznanie tylko jeden świadek, Józef H. Smith, przewodniczący kościoła mormońskiego i siostrzeniec jednego z założycieli sekty. Tenże Smith po za swojem dostojeństwem kościelnem jest człowiekiem światowym niemałego znaczenia, stojącym na czele ośmiu przedsiębiorstw przemysłowych w państwie mormońskiem, jednym z dyrektorów Związku kolei Oceanu Spokojnego, kierownikiem wielu stowarzyszeń kopalnianych. Obowiązki, związane z temi stanowiskami, wystarczyłyby same w sobie dla wypełnienia życia każdego innego, zwykłego śmiertelnika. Smith tymczasem sprawuje jeszcze kilka urzędów kościelnych, jest wedle swego własnego określenia „prorokiem, opowiadaczem mądrości, objawicielem.“ Jako przewodniczący kościoła mormońskiego, jego „głowa,“ jak sam się nazywa,“ ma nad gminą władzę absolutną, której źródłem jest natchnienie boże i otrzymywane objawienia. Inni mormoni mogą także miewać objawienia, ale te mają znaczenie tylko dla ich prywatnego życia i to o tyle, o ile nie stają w sprzeczności z pisanemi prawami państwa mormonów lub objawieniami naczelnika. Kiedy go zapytano, coby uczynili, gdyby objawienia boskie i natchnienia głowy kościoła mormońskiego znalazły się w sprzeczności z prawami uchwalonemi przez ludzi, odpowiedział J. H. Smith po niejakiem wahaniu, że obowiązkiem prawego mormona jest słuchać „boskiego nakazu.“

Wielożeństwo według słów głowy kościoła mormońskiego jest podstawą ich religii, nakazem otrzymanym od Boga. Jakkolwiek wielu mormonów posiada tylko jedną żonę, bogatsi i bardziej wpływowi członkowie kościoła żyją wszyscy w poligamii. W r. 1890 po ogłoszeniu prawa, zabraniającego wielożeństwa, kościół mormoński wydał „przepis,“ nakazujący zastosowanie się do tej ustawy. Nikt jednak, zdaje się, nakazu tego nie posłuchał.

On sam, głowa kościoła, utrzymywał sześć żon, z których jedna umarła mu, reszta zaś pilnie hoduje i rodzi dzieci: „nie mam serca— objaśnił on — pozbawić ich mojej miłości, taką okryć je hańbą.“ Inni apostołowie mają po siedm, a nawet ośm żon, a każdy z mormonów przynajmniej dwie.

Wobec gotującego się dalszego śledztwa, niektórzy z apostołów zamierzają wynieść się do Meksyku, gdzie istnieje wielka kolonia mormonów, i gdzie swobodnie będą mogli w dalszym ciągu sprawować swoje urzędy i zachowywać obyczaje, otoczeni szacunkiem swych współwyznawców.

Z SĄDU.

Kalectwo przy pracy. W tych dniach II wydział karny warszawskiego sądu okręgowego rozpatrywał sprawę nieszczęśliwego wypadku, który zaszedł minionego lata w fabryce Rudzkiego i Sp. w Nowomińsku. W myśl art. 10 instrukcyi, opracowanej przez warszawski urząd gubernialny, wszelkie koła zębate w maszynach fabrycznych powinny być zaopatrzone w skórzane pokrowce, t. zw. „kożuchy,“ zabezpieczające robotników od wypadkowego wciągnięcia między tryby. Tymczasem d. 13 czerwca r. z., zatrudniony w fabryce wspomnianej robotnik, Józef Nesek, zauważywszy podczas ruchu maszyn pewną niedokładność w naczyniach, z których kapał olej, wspiął się na stos, leżących obok maszyny kręgów metalowych, i sięgnął ręką do zepsutego naczynia; kręgi obsunęły się nagle i Nesek, straciwszy równowagę, dotknął lewą ręką do niezaopatrzonego w kożuch koła zębatego, które w jednej chwili zmiażdżyło mu całą rękę. Odpowiedzialność za ciężkie to kalectwo spadła na tych, z czyjej winy koło zębate nie miało na sobie pokrowca: oddano więc pod sąd inżyniera - technologa, zarządzającego fabryką Rudzkiego, p. Włodzimierza Dolińskiego, pod zarzutem przestępstwa przewidzianego przez 1494 art. kod. kar. Oskarżony nie przyznał się do winy, twierdząc, że nieszczęsne koło chwilowo tylko nie miało na sobie kożucha; świadkowie jednak zeznali, że nie miało ono nigdy skórzanego pokrowca. Sąd skazał p. Dolińskiego na trzy dni zamknięcia na odwachu.

(*Gazeta Polska*).

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Generał-gubernatorom irkuckiemu i wojenno-stepowemu, oraz gubernatorom tomskiemu i tobolskiemu, na cały czas działań wojennych na Dalekim Wschodzie udzielono szczególnych pełnomocnictw co do ochrony porządku państwowego i spokoju publicznego.

— Przerwano zupełnie wysyłanie skazanych na Sa-[illegible]

— W Krakowie uczniowie szkół średnich urządzili tłumną demonstracyę przed lokalem redakcyi *Wieku Nowego* z powodu ostrych w tem piśmie artykułów, krytykujących obyczaje i sposób życia młodzieży. Demonstranci starli się przytem z policyą, skutkiem czego kilku z nich poniosło ciężkie obrażenia.

— Ricotti Garibaldi, prezydent federacyi „Pro Italia irredenta“, łącznie ogłosił odezwę do Słowian bałkańskich, aby wystąpili przeciw nienasyconym zapędom germańskim, które teraz mają wolne ręce dla swoich celów zaborczych wskutek wojny rosyjsko-japońskiej. Odezwa wzywa Słowian do licznego stawienia się na kongres w Wenecyi, gdzie ma być omówiony sposób obrony przed niebezpieczeństwem wszechgermańskiem.

— W ciągu stycznia okręty przywiozły do Nowego-Yorku 5,924 Żydów, w tej liczbie z państwa Rosyjskiego 4,250, z Austryi, głównie z Galicyi 1,175, z Rumunii 443, z Niemiec 29, z Anglii 16, z Turcyi 9, z Francyi i Belgii po 1. W Nowym Yorku zostało 4,447 osób, reszta wyjechała do innych miast amerykańskich.

— Policya berlińska zakazała urządzania polskich wieczorków dla dzieci, zaliczając te zebrania pod prawo obowiązujące stowarzyszenia polityczne.

— Z okolic Rypina donoszą o gromadnem wychodźstwie ludności na zarobek do Prus i za Ocean.

— W Kopenhadze organizują kursa sztuki gotowania dla młodych mężczyzn, mieszkających samotnie.

Szkoły i wychowanie. W politechnice warszawskiej w drugiem półroczu uwolniono od całkowitego wpisu 151 studentów, od połowy — 91.

— Wyjaśniono, że kandydatki na nauczycielki domowe, które po ukończeniu edukacyi prywatnej zdały egzamin z kursu 7-miu klas gimnazyum żeńskiego, mogą korzystać z praw, na równi z wychowanicami gimnazyów żeńskich, czyli po otrzymaniu patentu kursu gimnazyalnego nie potrzebują wyjednywać świadectw dodatkowych na tytuł nauczycielki domowej.

— Doroczne kursa wakacyjne przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie rozpoczną się d. 24 czerwca i trwać będą do 24 lipca.

— Miliarder amerykański, Carnegie, przeznaczył 1,500,000 dolarów na założenie wyższej szkoły dla inżynierów, techników i elektrotechników.

Wiadomości naukowe. Przy Tow. ogrodniczem w Warszawie powstała pracownia entomologiczno-botaniczna, która zajmuje się badaniami zoologiczno-botanicznemi nad życiem organizmów szkodliwych roślinom uprawnym, próbowaniem znanych, oraz wyszukiwaniem nowym środków do walki ze szkodnikami, udzielaniem informacyj w tych przedmiotach, wreszcie zbieraniem wiadomości o szkodnikach celem organizowania wspólnej walki z wspólnym wrogiem. Informacye udzielane będą bezpłatnie. Kierownictwo pracowni objął przyrodnik p. Kazimierz Kulwieć.

— Wystawę wszechsłowiańską w Petersburgu od-[illegible]

— Komitet X-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich zawiadamia, że z wielkim nakładem pracy przygotowywany od 20 czerwca do 27 lipca r. b. zjazd we Lwowie, połączony z wystawą przyrodniczo-lekarską, został z powodu powołania do służby wojennej znacznej liczby lekarzy-Polaków, oraz ze względu na niepewną konstelacyę polityczną w Europie, odroczony. Ponieważ jednak już dotąd zgłosiło się przeszło 500 wystawców i wogóle zjazd i wystawa mają wielkie widoki powodzenia, przeto komitet zawiadamia, że wszystkie umowy zawarte utrzymuje w całej mocy i bierze odpowiedzialność za pobrane kwoty czy to za miejsce na wystawie, czy też za ogłoszenia w katalogu. Z chwilą ułożenia się stosunków komitet urządzi nieodwołalnie zjazd i wystawę.

Zdrowie publiczne. W celu walki z fałszowaniem produktów spożywczych, warszawski urząd lekarski wyjednał u władzy pozwolenie na ogłoszenie w pismach nazwisk osób, u których znaleziono produkty spożywcze fałszowane. Ogłoszenie to nastąpi po dokonaniu rozbioru w laboratoryum hygienicznem miejskiem. Nadto w *Gazecie policyjnej* będą ogłaszane wyniki oględzin lekarsko sanitarnych w różnych zakładach i handlach produktów spożywczych, oraz lista osób, karanych przez sędziów pokoju za wykroczenie przeciw przepisom lekarsko-policyjnym.

— W Bagdadzie, Johannesburgu i Port-Saidzie ukazała się dżuma.

Literatura i prasa. Na konkursie *Karyera Porannego*, ogłoszonym na nowelę, pierwszą nagrodę przyznano p. Z. Bartkiewiczowi za „Jesienne dźwięki,“ drugę p. Julii Moszyńskiej za utwór „Dlaczego“ i p. W. Seewaldowi za „Karyerę“; nadto wyróżniono kilka [illegible]

— Redaktor *Kijewlanina*, p. Pichno, skazany został na 10-dniowy areszt domowy za pomieszczenie fajletonu, krytykującego wyrok sądu wojennego, skazującego Kriukowa, służącego pułkownika Romaszew-

skiego, na kilkanaście lat ciężkich robót za zabicie córki pułkownika.

— P. Artur Gruszecki, wygłosił w krakowskiej „Czytelni dla kobiet“ odczyt o Aleksandrze Świętochowskim, jako noweliście i dramaturgu.

— We Lwowie zacznie wychodzić od 1 kwietnia r. b. syonistyczny dziennik żargonowy, pod redakcyą nauczyciela ludowego, Badera.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dn.* donosi, że Banki warszawskie nie przyjmują do dyskonta weksli, wystawionych na Syberyę.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawy Tow. pożyczkowo - oszczędnościowego dla rzemieślników warszawskich i drobnych handlujących; Kasy posagowej p. n. „Spółka“; warsz. Tow. ulepszenia mieszkań dla ubogiej ludności pracującej; Kasy pogrzebowej przy warszawskiej Kasie pożyczkowo-oszczędnościowej lekarzy, Kasy pogrzebowej przy Tow. wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, oraz Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego w Nowej Aleksandryi.

— Departament rolnictwa opracował projekt ustawy miejscowych biur rolniczych. Otwierać takie biura w całem cesarstwie będą miały prawo wszystkie Tow. rolnicze i ziemstwa. Zadaniem biur będzie, prócz celów ogólno rolniczych, pośrednictwo w sprzedaży artykułów rolniczych i drobnego przemysłu włościańskiego. W tym celu będą one podzielone na wydziały: wywiadowczo - doradczy i pośrednicząco - komisowy. Biura będą wolne od podatków i opłat przemysłowych i będą miały prawo wydawać spisy ogłoszeń, biuletyny handlowe i rozpowszechniać pożyteczne wy- [illegible]

— *Kur. Warsz.* donosi, że różne firmy handlowe i przemysłowe, utrzymujące stosunki z Dalekim Wschodem, poleciły swoim agentom zaniechać wszelkiej działalności i powrócić do domu

— Korespondent z teatru wojny do *Birż. Wied.* donosi, że na Syberyi wszystko, co daje jakibądź dochód, przeszło w ręce Żydów, których spotyka się coraz więcej w miarę zbliżania się do Irkucka.

— Według *Warsz. Dn.* w spowodowanem przez wybuch wojny podnoszeniu pieniędzy z kas oszczędności nastąpił zwrot; wkłady wpływają z powrotem.

Koleje i komunikacye. W sztabie głównym wypracowano przepisy tymczasowe dla przewozu ładunków niewojskowych, adresowanych na stacye kolei: Syberyjskiej, Zabajkalskiej, Wschodnio-Chińskiej i Usuryjskiej. Na przewóz ładunków prywatnych wydawane są ustanowione w tym celu dokumenty wojskowe, przy których, mogą być tylko wyprawione obecnie towary, adresowane do stacyj na wyżej wymienionych liniach kolejowych i tylko te przedmioty, których dostawa jest niezbędna z punktu widzenia potrzeb wojennych. Dokumenty wydawane będą w Warszawie: w sztabie okręgu wojskowego, warszawskiego przez zarządzającego mobilizacyą wojska na stacyach: Warszawa-Kowelska, Praga-Petersburska, Warszawa-Brzeska i Warszawa-Wiedeńska — przez komendantów stacyj. Wszystkie ładunki, wyprawiane na Daleki Wschód, będą skierowywane na Wolgę do rozporządzenia biura sanitarnego, które zająć się ma dalszem ich wyprawieniem, zgodnie z posiadaną instrukcyą.

— Ministeryum komunikacyj nakazało, ażeby oficyaliści kolejowi, powołani do pełnienia służby wojskowej, po powrocie otrzymywali posady poprzednio zajmowane lub inne, lecz z taką pensyą, jaką pobierali [illegible]

Poczta. W warszawskim oddziale telegraficznym zaprzestano przyjmowania depesz prywatnych do miast położonych w obrębie działań wojennych na Dalekim Wschodzie.

— Główny zarząd poczt pozwolił na przyjmowanie odkrytych kart ilustrowanych, na których jedna strona przeznaczona jest w w połowie na adres, w połowie [illegible]

— Od d. 15 kwietnia r. b. Warszawa będzie główną stacyą wymiany przekazów pieniężnych, pocztowych między Stanami Zjednoczonymi a państwem rosyjskiem. Dotychczas czynności te uskuteczniał kantor pocztowo-telegraficzny w Kibartach.

— Listy zagraniczne, wysyłane dotychczas koleją Syberyjską, kierowane będą na Suez.

Zmarli. Dr. Aleksander Janiszewski, prezes Tow. lekarskiego i Tow. kredytowego ziemskiego w Lublinie.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 19—24 dzieła J. Simmla p. t. **Filozofia pieniądza**, w przekładzie Leo-Belmonta.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Марта 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.